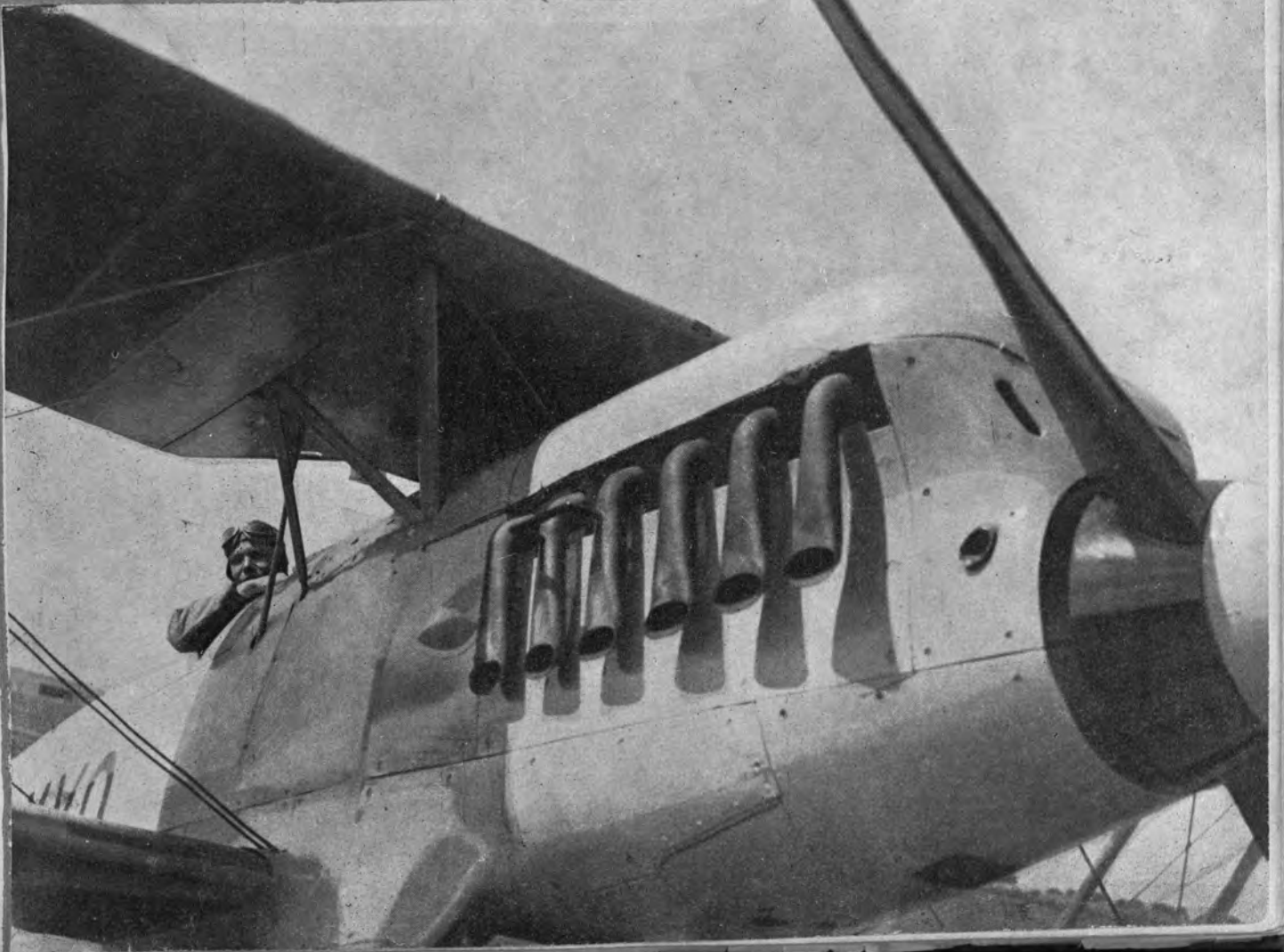


NR. 7/8

ROK V

P

# ODCHORĄŻY





# FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego” pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i zawiązać z Nimi trwałą współpracę, postanowiła wprowadzić stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografii.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od 2 zł. do 5 zł. Fotografje te będą zamieszczane w „Podchorążym”, a o przyznaniu premji Redakcja stale będzie zawiadamiać na tem miejscu.

Przy kwalifikowaniu fotografii do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomysłowość ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty ogłoszenia jej przyznania.

**Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją. Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.**

## PREMJE

Stosownie do zapowiedzi Redakcja „Podchorążego” przyznała następujące premje za zdjęcia zamieszczone w Nr. 5 i 6:

- a) w wysokości 4 zł.:
  - 1) Pankiewicz (za „ideał kostki”).
- b) w wysokości 3 zł.:
  - 1) Dobromirski (za „po strzale”, „artylerzyści nie próżnują”),
  - 2) Królicki („na tarczowni”),
  - 3) Olańczuk („regulaminy”),
  - 4) Milczarek („tyraljera naciera”).
- c) w wysokości 2 zł.:
  - 1) Frontczak („na przeszkodzie”, „cel—pierwsza tarcza”),
  - 2) Olańczuk („zasłużony odpoczynek”).

# PODCHORĄŻY

ORGAN SZKÓŁ PODCHORĄŻYCH

Nr. 7 (80) i 8 (81)

15 STYCZNIA 1936 R.

ROK V



Karabiniarze w śniegu

fol. Pikiel



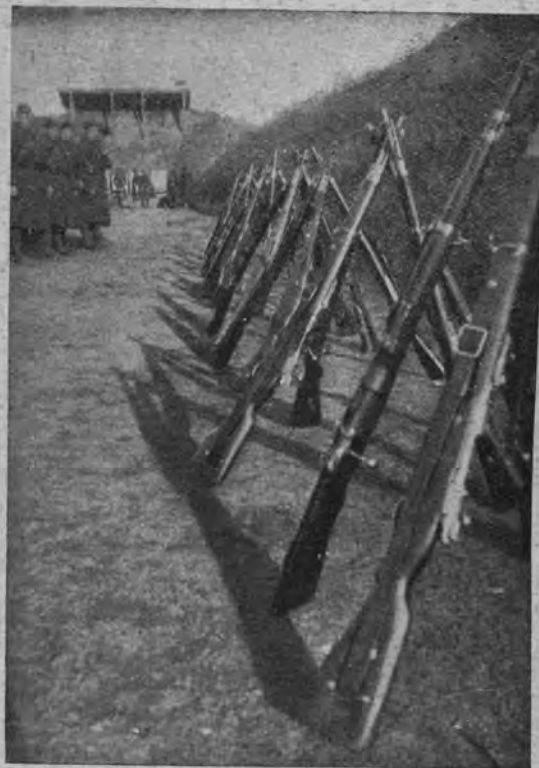
## PODSTAWOWY CZYNNIK WOJSKA

Stykamy się z nią na każdym kroku, każdego dnia w życiu wojskowym. Kieruje ona właściwie całym życiem wojskowym i zasadniczo odróżnia je od świata cywilnego. Rozumiemy ją już — *discyplinę*. A chociaż nie jest dla nas tajemnicą, to jednak teraz po powrocie z urlopów, po pierwszych dniach ćwiczeń i koszarowego życia, przypominała nam znów o swym istnieniu mocą kontrastu ze swobodą okresu urlopowego.

Nieraz zapewne budzi w nas krótkotrwałe uczucie cichego buntu, zwłaszcza, gdy zmusza nas do wewnętrznego przełamania się, ograniczenia swego własnego ja, wykonania rozkazu, którego celowość nie wydaje się nam, już w momencie jego otrzymania, jasną. Szkoła Podchorążych to szkoła dyscypliny. Dyscyplina zaś, to jeden z koniecznych elementów dowodzenia.

Dowódca musi powziąć decyzję, opracować plan jej wykonania i wydać dobry rozkaz. Od wykonania rozkazu zależy powodzenie akcji; wykonanie zależy w prostym stosunku od dyscypliny podkomendnych. Dowódca w swej pracy nie może wykonawców swego planu wtajemniczać w jego drobiazgowość. Wydaje rozkaz, który powinien być bezwzględnie wykonany. I tylko wtedy, gdy dowódca jest pewien dyscypliny podwładnych, gdy wie, że rozkaz jego będzie spełniony, może spokojnie prowadzić pracę myślową dowodzenia.

Piękny i wymowny przykład dyscypliny żołnierza I-ej Brygady, łączącej się jednocześnie z pierwiastkiem miłości do wodza, dał Inspektor Armji, generał L. Berbecki w jednym ze swoich wywiadów\*): „Komendant kazał—to był najświętszy rozkaz przerywający wszelkie dyskusje, namysły, wątpliwości, czy niechęci. Ilekróć w Legionach musiałem z mego 5-go pułku wydobyć maksimum ofiarności i wysiłku, wystarczało bym powiedział: „Chłopy! Komendant kazał”. Magiczne te słowa wzniewały gorący zapal i podrywały pułk do nowych zmagania, pułk walczył krwawo i mężnie, pułk zwyciężał, bo przecież „Komendant kazał”.



kbk też odpoczywają...

Pod Kostiuchnowką w huraganowym ogniu moskiewskim poległo 3-ch dowódców batalionów i 12 dowódców kompanij, a mimo to żołnierz 5-go pułku trwał niewzruszenie na swych obficie skrwawionych pozycjach—przecież „Komendant kazał”.

Wydatna i planowa organizacja wysiłku każdej zbiorowości jest tylko możliwa w oparciu o dyscyplinę. Ona powściąga wybujałą swobodę jednostki i zmusza ją do podporządkowania się celowi na rzecz którego działać ma dana zbiorowość. Dzięki właściwościom dyscypliny nieskoordynowane zbiorowisko jednostek nabiera prężności, staje się elementem sprawności i siły, działać może z precyzją potężnego mechanizmu.

Aby osiągnąć swój cel istotny, dyscyplina nie może być powierzchowna, bezduszna, nie może się opierać tylko i wyłącznie na zewnętrznych przejawach. Jest ona bowiem czynnikiem składowym tego, co nazywamy „morale” żołnierza. Żołnierz musi rozumieć, że rozkaz wykonać należy nie dlatego tylko, że za jego niespełnienie grozi tyle a tyle dni aresztu, ale dlatego, że wykonanie jego jest konieczne dla osiągnięcia pewnych wyższych celów (których on może nawet nie znać), że staje się jednym z ogniw wielkiego łańcucha ciągłości działania całej zbiorowości—wojska.

Dyscyplina jest jedna. Nie można jej dzielić na mniejszą czy większą, ważniejszą lub mniej ważną. Nie zależy też od stopnia — obowiązuje jednakowo wszystkich. Obowiązek utrzymania w czystości nóg przez szeregowca czy zakaz noszenia nieodpowiedniego koloru munduru oficerskiego, zapalenie papierosa przez wartownika na oddalonym posterunku czy zaniedbanie przez dowódcę plutonu dokonania przeglądu broni—to, obiektywnie biorąc, zupełnie identyczne naruszenie dyscypliny i niewykonanie rozkazu.

Nauka dyscypliny—jeśli można nazwać ten proces — bywa nieraz przykra, zwłaszcza, że ogarnia swym zasięgiem i cały szereg drobnych, codziennych spraw. Nie mniej przeto jest ona konieczna i tylko dokładne przejście przez jej „szkołę” może dać dobre kwalifikacje żołnierskie

niezbędne dla przyszłego dowódcy (zawodowego czy rezerwisty). Dowódca musi być sam wysoce dyscyplinowany wobec przełożonych i musi takiej samej dyscypliny wymagać od podkomendnych, a ponieważ sam musiał przejść jej „szkołę” od podstaw, od stopnia szeregowca, wie jakie jej stosowanie może wywierać reakcje psychiczne i jak nadać jej głębsze, nie wyłącznie pozorne, wartości.

Aby najlepiej określić istotne znaczenie dyscypliny i rozkazu w wojsku sięgnijmy do pism wielkiego Marszałka, gdzie czytamy: „Rozkaz jest życiem wojska, rozkaz idący od człowieka do człowieka, zmuszający do tej, a nie innej czynności i pracy. Jest to odwieczne życie wojska — rozkaz i mus,



Pewny strzał...

szkołą dyscypliny — jej wpływ pozostanie w nas na długie lata.

T. Żenczykowski

## AKTYWNY BILANS PRACY

*Człowiek nie chce szanować największej potęgi swego żywota: pracy zbiorowej, chociaż ta właśnie największe cuda tworzy.*

Józef Piłsudski

Był czas, i to stosunkowo jeszcze bardzo niedawno, że w t. zw. prasie poważnej o zagadnieniach młodzieżowych pisano rzadko i mało. Jakaś sensacyjna awanturka na zebraniu akademickim, porachunki osobiste między leaderami, jakaś petarda czy rozbita szyba — to były bodaj jedyne fakty, na podstawie których nie wahano się pisać o „degeneracji”.

Od niedawna dopiero patrzy się na młodzież z innej strony. Ale wśród tych różnorodnych punktów widzenia brak zwłaszcza jednego: nikt nie zrobił porównania między młodzieżą, która wprost z ławy szkolnej poszła do uniwersytetów, a tą, która wróciła do nauki po odbyciu jednorocznej służby wojskowej. Moim zdaniem są wielkie, bodaj zasadnicze różnice.

Jesteśmy już starymi żołnierzami. Cztery miesiące pozwalają nam z pewnej perspektywy spojrzeć na efektywne rezultaty nie tylko zdobytych wiado-

związany z rozkazem. A rozkaz najgłębiej sięga tam, gdzie idzie nie tylko po przejawy życia, lecz gdzie zaprzecza jestestwu — i idzie po życie samo. Rozkaz i posłuch, nakaz i mus — to sfera w której obraca się wojsko. Rozkaz wychodzi od człowieka, nie ubiera się on w żadne abstrakcje. Usobienie rozkazu można znaleźć praktycznie w równym sobie człowieku, — nawet w pogardzanym przez innych: a jednak rozkaz działa”.

Pamiętać musimy, że Szkoła Podchorążych jest dla nas najlepszą

szkołą dyscypliny — jej wpływ pozostanie w nas na długie lata.

mości i wyszkolenia, ale na te także wartości, jakie dało nam spełnienie obowiązków, tych zdawałoby się najmniej ważnych — czyszczenie butów, układanie kostki i t. p.

Bo zastanówmy się poważnie. Życie nasze jest inne nie tylko dlatego, że odgradzono nas murem koszar, odróżniono kolorem munduru, ale właśnie chociaż przez to kilkakrotnie w ciągu dnia czyszczenie butów. Oczywiście nie chodzi tu o samą mechaniczną czynność. Za tem jest porządek, spełnienia obowiązku, pewna ilość pracy, będącej funkcją życia zorganizowanej zbiorowości, jaką tworzymy. Wartość takiej pracy, pomnożona przez pełną świadomość potrzeby jej istnienia, uwidoczni nam dopiero dystans, jaki dzieli dwie grupy młodzieży.

Ten drobny, pozornie może nieco śmieszny przykład, w istocie swjej pokazuje nam kilka różnic. Jesteśmy już innymi niż dawniej. Podkreślam: dążność do utrzymania porządku, poczucie obowiązku, dokładne wykonywanie najmniejszego obowiązku, czynny udział w pracy zbiorowej dla dobra tej zbiorowości i dla celów wyższych. Dochodzi do tego świadomość nasza, że to wszystko jest potrzebne, koniecznie, że nam i innym przynosi korzyść.

\*). Wywiad redaktora „Strzelca” Nr. 4 z 1934 r.



Na jedną jeszcze wartość chciałbym zwrócić uwagę. To praca zbiorowa, o której Józef Piłsudski mówi, że „ta właśnie największe cuda tworzy”.

W wirze codziennej pracy, którą żyje cały świat, padają rekordy pracy, o których nie wie nikt poza nami, z których ogromu i ważności nie zdaje sobie sprawy ten, kto w niej nie brał czynnego udziału. Zeszliśmy się z wielu stron, częstokroć nie łączyło nas z sobą nic. Jak odrębne mieliśmy charaktery, jak różne poglądy, zamiłowania, jak bardzo niebyliśmy zdolni — tak nam się zdawało — do pracy fizycznej. I oto nagle ta gromada zaczyna wspólnie pracować. Pamiętajcie, jakim nastrojom ulegaliśmy w pierwszych dniach, tygodniach? Jakże często byliśmy niezadowoleni, zmęczeni? Później nastąpiła zmiana. Pracowaliśmy dlatego, że nam tak kazano. Ale ten okres był krótki. Przyszła świadomość, że ta praca jest potrzebna, że tej pracy wymaga od nas coś, co jest dla nas najświętszego — Ojczyzna, że mamy szczęście własną pracą budować jej wielkość. Teraz jest już дума, że możemy tę pracę dać. I niewątpliwie przyjdą jeszcze inne odczuwania, bardziej szlachetne.

## MANEWR ODRODZONY

„Wojna jest aktem przemocy mającym na celu zmuszenie przeciwnika do spełnienia naszej woli” (Clausewitz—„O wojnie”). Siła, która temu aktowi stale towarzyszy podlega wszystkim prawom fizyki, da się ująć w matematyczny wynik masy i szybkości. Troską człowieka stojącego nawet na niskim stopniu cywilizacji było wydobycie jaknajwiększej energii na polu walki. Nie rozporządzając zawsze przewagą liczebną starał się pomnożyć siłę uderzenia przez powiększenie jego szybkości. Szybkość pozwalała mu nadto na zaskoczenie przeciwnika. To też od najdawniejszych czasów ruch był zasadniczym elementem boju. Ulegał on z biegiem wieków najrozmaitszym przeobrażeniom odpowiadającym duchowi epoki, psychice wojska i jego uzbrojeniu, charakterowi wodzów i in. Zmiany te jednak były tylko zewnętrznymi warjantami nie naruszającymi bynajmniej fizycznego prawa kinetyki.

A tymczasem ostatni konflikt zbrojny Europy zdaje się być symbolem równowagi wzajemnej niemocy, bezruchu taktycznego, początkiem ery wojny stabilizacyjnej, w której bagnet będzie miał znaczenie muzealne. Tak mówi belletrystyka, film, reportaże prasowy upatrujący odpowiedniego tła dla reprezentowania szerszym masom sensacji XX wieku — gazów bojowych i lotnictwa.

Doświadczenia naukowe z tej właśnie ostatniej wojny mogą nam wskazać właściwą, a naj-

Te właśnie czynniki spowodowały, że nasza praca zaczęła być coraz bardziej harmonijna, coraz większa, aż dzisiaj bez przesady możemy powiedzieć, że zdobywamy rekordy tej pracy.

Jeżeli więc te czynniki były tak silne, te odczuwania tak bardzo głębokie, że potrafiły nas stworzyć, zmienić — będą dość silne na to, aby iść z nami przez całe życie, uczyć nas wydobywać z tego życia wszystko co piękne i zdrowe, a zostawić po sobie mocne wartości pracy.

I gdy wrócimy do swych zawodowych warsztatów pracy — inna sprawa, że teraz jeszcze nie warto myśleć o powrocie — naszą pracę i poczucie obowiązku, to wszystko, czego nas nauczono w wojsku — kłaść będziemy nie w wynajdywanie pyłków koło gwoździ! Ale kłaść będziemy w zbiorowy zorganizowany wysiłek pracy. I z dumą będziemy mogli powiedzieć, że jesteśmy inni, bardziej pożyteczni. A być pożytecznym — dużo znaczy!

strz. z cenz. J. Dostatni

D.K.P.R. Pułtusk

prostszą drogę w rozwiązaniu kwestji i osiągnięcia pozytywnego wniosku co do taktyki przyszłości. Należy tylko umieć ocenić krytycznie wartość poszczególnych elementów taktycznych, nawet gdyby skutek ich użycia był odwrotny zamierzeniom. Na efekt bowiem tego rodzaju prócz wyboru trafnej metody składa się wiele czynników innej natury. Tak często myśl genialna staje się bezsilna wobec elementarnej potęgi i materialnego prawa rządzącego masą, przestrzenią i czasem.

W roku 1914 wyruszyły do walki armje uzbrojone w nowoczesną broń, o przestarzałych jednak metodach jej użycia. W początkowej fazie działań, dopóki produkcja wojenna nie została jeszcze całkowicie uruchomiona, stare formy natarć, przeprowadzanych głębokimi urzutowaniami cieszyły się powodzeniem, rychło jednak, gdy manewr niemiecki dzięki zbyt połowicznemu, nieryzykownemu postępowaniu kierownictwa załamał się, stracono wiarę w skuteczność akcji inspirowanej li tylko przez rozpęd szturmowy piechurów. Potęga ognia okazała swą przewagę ponad wartość wojsk.

Jako przeciwśrodek towarzyszący odtąd stale wzmagananiu się intensywności ognia rozwinął się postęp w budowie umocnień obronnych. W tych warunkach zwycięstwo zależało od wyniku matematycznej redukcji i likwidacji sił żywych na froncie. Koncepcja manewru ustąpiła miejsca koncepcji walki pozycyjnej. Nie znaczy to, ażeby teraz zaprzesta-

no działań ofensywnych, przeciwnie: stosowane były b. często i odznaczały się one niespotykaną dotąd siłą zniszczenia, sposób jednak ich wykonania — skutek rozbudowy narzędzia walki nie pozwalał na definitywne rozstrzygnięcie. Natarcie piechoty bowiem na pozycję wymagało długotrwałych przygotowań technicznych i poprzedzone być musiało gruntownym zniszczeniem systemu obrony przeciwnika (taktyka „sprzętu” Nivelles’a). O intensywności ówczesnego ognia świadczą takie dane jak np. w r. 1915 w samej Szampanji użyto 5000 dział, pod Gorlicami na km. biejący frontu wypadało 150 dział, przygotowanie art. nad Sommą trwało 180 godz.

Taka żmudna akcja niszcząca informowała wczas nieprzyjacielskie dowództwa o kierunku natarcia i pozwalała na przesunięcie w miejsce zagrożone potężnych odwodów. Ogień piechoty w natarciu warunkujący jej zdolność ruchu uzyskiwany przez zewnętrzną pomoc — artylerję, okazał się nieracjonalny, wykluczał bowiem niespodziankę. Przestrzeń, którą piechota mogła obecnie w natarciu osiągnąć w najlepszym wypadku była ustalana głębokością ostrzeliwanego przez artylerję odcinka. Wojna przekształciła się w straszliwe, a powolne zmagania. Pochłonięto ono najlepsze siły narodu, a z biegiem przeciągania się konfliktu, groziło stale rewolucyjnymi wstrząsami (rozruchy w 16 korpusach franc., bunt marynarzy niemieckich w r. 1917).

Aby przyspieszyć proces rozstrzygnięcia działań wraz ze wzmoczeniem inwencji na polu techniki rozpoczęto poszukiwania nowych pierwiastków taktycznych. Kosztem długich studjów sformułował Ludendorff nową koncepcję natarcia. Głównymi jej przesłankami są:

1. Zredukowanie czasu przygotowania art. przy wzroście jego brutalności przy równoczesnym pomnożeniu ognia bezpośredniego wsparcia,
2. Niepostrzeżone przesunięcia masy manewrowej,
3. Szybkość włamania przez zdecydowane partie w kierunku przedmiotów głęboko położonych i zgóry oznaczonych.

Metody te zastosowane na szeroką skalę w ofensywach niemieckich 1918 r. przyniosły niebyłejakie rezultaty, w formie realnej osiągnięcia linii wybiegającej nawet poza Marne. Był to znaczny postęp w odrodzeniu niespodzianki taktycznej. Ogień towarzyszący szturmowi pozostał nadal jednak kwestją do rozwiązania. Inicjatywę w tym kierunku odebrała Niemcom wielka ofensywa gen. Mangin’a (18.VII 1918 r.) z Villers-Cotterets przy masowym użyciu czołgów poprzedzających szturmowy wypad piechoty. Ciężki tak potężnego młota sprzymierzonych ponawiane na całym froncie załamało niemiecki system obrony. Był to końcowy epizod wojny — zwycięstwo koalicji.



Za węglem

fol. Opitz

Pojawienie się czołgów pozwoliło na syntetyczne ujęcie pierwiastków decydujących o powodzeniu manewru. Postęp w udoskonaleniu tej broni w kierunku pomnożenia precyzji i siły jej ognia — oto donisłe zadania dla konstruktorów. Wobec tego rodzaju zdobyczy natarcie w przyszłości cechować będzie wielki rozmach. „Ogień posuwający się wprzód (francuska definicja natarcia), prowadzony przez jednostki zmechanizowane odbuduje klasyczne formy strategji. Motoryzacja zaś wojsk i racjonalna rozbudowa komunikacji przywróci armji utraconą ruchliwość, odrodzi niespodziankę, tę „najskuteczniejszą broń” (angielski regulamin służby pol. field service Regulations vol. II op. 1929).

Czas i przestrzeń w roku 1812 przez genjusza Napoleona z braku odpowiednich środków transmisji i transportu nieopanowane, przez nowoczesną technikę ujarzmione nie będzie stanowiły przeszkody dla decyzji wodza.



W ogniu...

fol. Frontczak



Równoległe z odrodzeniem manewru duch ludzki, heroizm żołnierza odnajdzie warunki i pole nieograniczonych możliwości. Romantyczny duch armii scharmonizowany z nowoczesną wiedzą — oto pierwiastki ożywiające przyszłą wojnę. Szczególnie jednak wojna rozgrywająca się na terenach polskich domagać się będzie manewrowego rozwiązania. Domagać się będzie nasz zapalny narodowy charakter niezdolny do długotrwałego wysiłku. Domagać się będzie nasz rozległy teatr wojenny zwłaszcza na wschodzie, którego nasycenie ogniem i ludźmi odpowiadające pozycji ciąglej jest rzeczą nierealną.

„Wielu z nas — pisze Marszałek Józef Piłsud-

ski w r. 1920 — nie umiało wygrać przestrzeni będącej na wschodzie w tak wielkim zakresie do dyspozycji dowódcy; w bałwochwalczym podziwieniu dla wojny pozycyjnej, chcieliśmy naśladować jej formy ustalone w tak odmiennych od miarodajnych na wschodzie warunkach, nie rozumieliśmy, że rozległa nizina sarmacka wymaga stosowania praw przestrzennego manewru, systemu napoleońskiej wojny ruchomej posługiwaliśmy się na wschodzie systemem kordonowym, a wskutek wszystkich tych powodów omal nie przegraliśmy wojny z Sowiecami”.

Pchor. J. Majewski.

## WESELI I SMUTNI

Jednym z warunków sprężystości i spoistości wojska jest dobre samopoczucie żołnierza. Bądźmy szczerzy, powiedzmy sobie, że każdy z nas dobrze się czuje, kiedy ma cały but i pełen żołądek. A o to nietrudno, bo buty dziurawe wymienia się w magazynie, no a żołądki — to już napewno na dywizyjnych Kursach są wszystkie pełne. Rzuciwszy okiem dookoła, łatwo dostrzec, że zwłaszcza w pierwszym okresie służby wojskowej wielu kolegów ma nosy „na kwintę”; w niejednym obliczu można wyczytać coś w rodzaju: „smutno mi Boże”, a niektórzy poprostu uwydatniają swoje samopoczucie dosadnym „idźcie do cholery” i t. d.

Objaw napozór błahy, a jednak z psychologicznego punktu widzenia ciekawy w swojej istocie.

Przyczyny, które sprawiają, że pewien odsetek kolegów z trudnością przyzwyczaja się do wojskowego trybu życia, leżą daleko poza wojskiem. Mianowicie, u ludzi tych brak jest pewnego przygotowania do wojska, przygotowania, któreby im ułatwiło życie w takiej społeczności, jaką jest wojsko. Nie bierzmy tu pod uwagę braków fizycznych, jak powolność ruchów lub niezajomość przysposobienia wojskowego, weźmy tu raczej braki natury psychologicznej. Wojsko bowiem jest jednym ze sprawdzianów wartości społecznej jednostki. Stara zasada głosi, że „aby nam było dobrze, musi być z nami dobrze”, — aby społeczeństwo mogło w pogodnej atmosferze dążyć do wspólnych celów, muszą komórki tego społeczeństwa umieć ze sobą współdziałać, umieć żyć. Inaczej się żyje indywidualnie, inaczej warunki nasze układają się w życiu zbiorowym. Wojsko, to społeczność, do której młody człowiek wchodzi w pierwszym etapie swego samodzielnego życia i tu zdaje egzamin z przygotowania do pracy w zespole. Tu uwydatniają się poszczególne charaktery jednostek, ich zdolności organizacyjne, ich koleżeństwo.

I oto spotykamy pewien odsetek ludzi, którzy z trudnością dostosowują się do współżycia z resztą kolegów. Z ich strony wprawdzie nie widać złej woli, lub niechęci, jest jednak coś, co stwarza między nimi a pozostałością jakiś dystans. Jest im niewygodnie na każdym miejscu; widać, jak są przygnębieni atmosferą liczebności rodziny, jaką jest drużyna, pluton, lub kompanja. Ta liczebność przytłacza i przygnębia ich, czyniąc im służbę wojskową bardzo uciążliwą. Są nieprzygotowani społecznie.

Bo właściwie szkoła średnia, niższa, czy wyższa sama nie wiąże ze sobą ludzi i nie uczy ich dostatecznie żyć we wspólnocie. Do tego potrzeba jeszcze pewnego bodźca, któryby gimnastykował

fol.  
Oleńczuk



Przy-  
jaciele...



fol.  
Grzon-  
kowski

Za  
chwilę...  
długa  
serja...

charaktery, czyniąc je równie mocnymi, jak i wiotkimi jeśli chodzi o naginanie się do linii współżycia pod jednym dachem. Takim bodźcem jest praca organizacyjno-społeczna.

Gawędziłem na ten temat z kilkoma kolegami z otoczenia, którym uśmiech znika z twarzy chyba tylko przykryty maską w biegu, którzy są pełni zawsze humoru, dowcipu i dobrego samopoczucia.

### PSYCHOLOGIA WALCZĄCEGO ŻOŁNIERZA

## ŻOŁNIERZ PRZED WALKĄ\*)

Przed walką żołnierz maszeruje lub wypoczywa. Marsz działa ujemnie na stan fizyczny i psychiczny żołnierza, wypoczynek — oddziałująco w zasadzie dodatnio. Odróżniamy marsze: *podróżny, ubezpieczony, forsowny i nocny*. Zasadniczą różnicą między temi rodzajami marszów jest możliwość spotkania się z naziemnym nieprzyjacielem w marszu ubezpieczonym, forsownym lub nocnym, podczas gdy w marszu podróżnym — zagraża tylko nieprzyjaciel z powietrza. Pozatem wszystkie inne czynniki oddziałujące na psychikę żołnierza nie różnią się między sobą. Pokrótkce rozpatrzmy wszystkie rodzaje marszów.

a) *Marsz podróżny*. Celem marszu podróżnego jest osiągnięcie przez oddział wyznaczonego sobie rejonu lub miejscowości — przy jak najmniejszym wysiłku i zmęczeniu ludzi. Wszyscy dowódcy, a

\*) Patrz artykuł por. Bańskiego w Nr. 19/IV z dn. 20.VII 1935 r.

Wprawdzie nie są im obce takie uczucia, jak oczekiwanie urlopu, nie ma tu jednak przewagi zniecierpliwienia. Każdemu z nich leci czas szybko; z humorem szorują podłogi, z humorem rozpychają się przy sianiu łóżek, z humorem chodzą po repete do stołu małojeżdzących kolegów-sąsiadów i czują się, jak u siebie w domu. Dlaczego ci odznaczają się pewną prostotą bycia i odwagą, tamci nieśmiałością i przygnębieniem? Oto dlatego, że prawie każdy z tych pierwszych przeżył właściwą każdemu okresowi życia organizację.

Patrzmy teraz z uśmiechem politowania na maszerującą z werblem drużynę harcerek, nie zdając sobie sprawy, że przecież nikt inny tylko druh drużynowy był pierwszym naszym dowódcą, pierwszy nas uczył musztry, śpiewu i terenoznawstwa. Mówimy dalej z wyniosłą miną, że i przysposobienie wojskowe nic wspólnego z wojskiem nie ma, a jednak jakże mniej obco czuje się w pierwszym okresie wojska absolwent P. W. od tego, który do P.W. nie należał. Weźmy teraz organizacje społeczne, gdzie przez pracę w różnych środowiskach uczyliśmy się żyć z otoczeniem, gdzie przez wypowiedanie się i wprowadzanie w czyn własnej inicjatywy wyrabialiśmy poczucie śmiałości i swobody.

Stąd wniosek, że kształcenie w sobie dziarliwości, powagi i odwagi, jaka winna cechować przyszłych dowódców, winno zaczynać się jeszcze przed wstąpieniem do wojska. A zatem obowiązkiem podchorążego rez. w pracy społecznej, winno być przygotowanie młodzieży do służby wojskowej.

Dęblin

strz. z cenz. Z. Morawski

szczególnie młodzi bezpośrednio przy żołnierzu stojący wyteżają całą energję, aby doprowadzić swój oddział w całości do miejsca przeznaczenia. Zadanie to nie jest tak proste jakby się zdawać mogło. W marszu działa na psychikę żołnierza szereg czynników, których przezwyciężenie — to praca zarówno samego żołnierza jak i jego dowódcy. Czynniki temi są: ciężar rynsztunku, zmęczenie, pragnienie, głód i niedogodności spowodowane wadliwym dopasowaniem oporządzenia, umundurowania i obuwia, oraz nastrój w jakim się marsz odbywa i dyscyplina.

Ciężar rynsztunku bojowego, zwłaszcza dla mało wytrenowanego żołnierza jest bardzo dużym czynnikiem obniżającym jego wartość bojową. Pasy podtrzymujące tornister wrzynają się coraz bardziej w barki, obciążają je i przytłaczają samopoczucie żołnierza. Przy dłuższym marszu ciężar staje się



coraz bardziej dotkliwym, utrudnia swobodny oddech i męczy maszerującego. Zaczyna więc występować inny czynnik — zmęczenie. Przeciętnie żołnierz czuje się zmęczonym po przebyciu około 20 klm. marszu. Odczuwa on wtedy chęć rzużenia ryszunku, wyjścia z kolumny i odpoczęcia przez czas dłuższy. Żołnierz dobrze zaprawiony odczuwać będzie mniejsze zmęczenie. Odgrywa tutaj rolę i ustrój organizmu oraz siły fizyczne żołnierza. Średnio biorąc — żołnierz po przebyciu 20 kilometrów marszu — powinien odpocząć dla nabrania sił — conajmniej godzinę. Czynnikiem niezmiernie ważnym, wpływającym nieraz decydująco na stan psychiczny i fizyczny maszerujących żołnierzy jest pora roku, a w związku z nią temperatura. W zasadzie najlepsza jest temperatura wahająca się w granicach —5° do +15° Celsjusza. Poniżej tej temperatury — utrudnia marsz mróz, powyżej — przeszkadza upał. W dni gorące następuje szybkie wypocenie wody przez organizm, a w związku z tem uczucie osłabienia i pragnienia. Gdy żołnierz nie ma co pić i nie uzupełnia potrzebnej organizmowi wody — staje się coraz mniej zdolnym do marszu. Każdy dowódca winien starać się zapewnić swemu oddziałowi odpowiednią ilość dobrej wody do picia w czasie marszu.

Żołnierz szybko wypija zawartość manierki, a następnie ogląda się aby ją znowu napelnić, stąd widzimy wybiegających z szeregu żołnierzy z manierkami do studni. Powoduje to dezorganizację oddziału. Aby temu zapobiec — dowódca winien branie wody uregulować zawczasu.

Zapobieganie odczuwaniu pragnienia przez żołnierza powoduje większą zdolność marszową oddziału.

Częstokroć do pragnienia — dołącza się głód, spowodowany większym wysiłkiem żołnierzy podczas marszu, — czynnik ten jest stosunkowo mniej ważny, gdyż organizm człowieka znacznie łatwiej znosi głód niż pragnienie.

Wadliwe dopasowanie oporządzenia, uwieranie pasków, a szczególnie otarcia nóg, które się zdarza przy niedopasowaniu obuwia lub niedbałym owinięciu nogi onucą — są przyczyną poważnego odsetka odpadających żołnierzy w marszu.

Szczególnie otarcia i niedogodności obuwia są straszne w skutkach i powodują niemal 80% strat marszowych. Żołnierz przy najlepszych nawet chęciach i silnym charakterze — staje się coraz bardziej słabym, popada w stan przygnębienia, traci samopoczucie, męczy się i w końcu przestaje maszerować. Stąd też dopasowanie obuwia i należyte jego obucie — to jedna z zasadniczych czynności przed odmarszem.

Wszystkie te czynniki mogą występować jednocześnie potęgując przez to swe działanie — wtedy skutki mogą być gorsze. Jednakże wielką rolę odgrywa nastrój maszerujących żołnierzy. Nastrój wesoły, muzyka, śpiew od czasu do czasu — wpływają podniecająco i pobudzają do wysiłku. Nastrój smutny, spowodowany brakiem podniet wesołych w postaci żartów, dowcipów lub śpiewu — jest przyczyną większego procentu odpadłych. Nie obo-



fol.  
Maksymowicz

Na posterunku.



W śniegu.

fol. Milczarek

jętną jest również dyscyplina z jaką oddział jest prowadzony. Przestrzeganie przepisów, odpoczynków i postojów oraz porządku — zmniejsza ilość odpadających podczas marszu.

Jeśli wziąć pod uwagę stan duchowy żołnierza na przestrzeni jednogodzinnego marszu po przerwie to — spostrzeżemy bardzo ciężkie poruszenie się połączone ze zgnębioną miną bezpośrednio po przerwie, następnie nastrój się poprawia, tak, że po przebyciu kilometra żołnierz czuje się zupełnie dobrze, potem stan ten trwa do końca 3-go kilo-

metra i dopiero na kilometrze ostatnim przed przerwą daje się odczuć wielkie przygnębienie i zmęczenie. Setki metrów — stają się kilometrami — Przerwa wywołuje oddech ulgi w żołnierzu.

Przerwa musi być wykorzystana na załatwienie naturalnych potrzeb, dopasowanie ryszunku i przeczucie obuwia. Odpoczynek z nogami opartymi tak aby stopy były wyżej — daje dużą ulgę.

Noc powoduje zwiększenie odczucia zmęczenia. Żołnierz poza czynnikami wymienionymi podlega jeszcze walce ze snem. Przy zwiększo-



I w śniegu można się dobrze schować

fol. Koryciński

fol.

Górski

„Ognia”



wiatrów, mrozów, lub upałów jest niezmiernie trudny, wymaga olbrzymiego wysiłku ze strony żołnierzy i dowódców i tylko przy ich wysokiej energii daje się odbyć bez strat.

Przeciętna norma dziennego wysiłku marszowego wynosi 30 kilometrów. Zwiększanie tej normy — powoduje nieproporcjonalne zmęczenie oddziału.

Naturalnie czas w jakim tę normę oddział przebywa — też nie jest obojętny. Ogólnie mniejsze oddziały maszerują z szybkością 5 kilometrów na godzinę.

Zatrzymałem się tak długo na marszu podróznym i omówiłem go obszerniej, aczkolwiek tylko w ogólnych zarysach, gdyż umiejętne przeprowadzenie żołnierza w marszu podróznym — to najważniejszy obowiązek każdego dowódcy. Jako lekturę dającą obszernie studjum o marszu i jego higienie — polecam zeszyty „Lekarza wojskowego” z 1934 r. Nr. 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 8 „Higiena marszu”.

b) *Marsz ubezpieczony.* Jak już wspomniałem — w marszu ubezpieczonym żołnierz ogólnie podlega tym samym czynnikom co i w marszu podróznym, jednakże poza nimi wylaniają się czynniki inne pobudzające lub osłabiające wolę i energję żołnierza.

Żołnierz w marszu ubezpieczonym posuwa się albo w kolumnie, albo pełni służbę ubezpieczeń. W pierwszym wypadku maszeruje niemal w normalnych warunkach marszu podróznego, w wypadku drugim — dochodzi kwestja strachu lub obawy zetknięcia się z nieprzyjacielem, Ta podnietta działa pobudzająco na żołnierza. Dlatego też często w marszu ubezpieczonym w kolumnie czy ubezpieczeniach marszowych żołnierz maszeruje szybciej i bez

nym wysiłku — droga przebyta w nocy zawsze jest cięższa i mniejsza niż w dzień, Senność przytłacza samopoczucie i powoduje wydłużanie się każdego 100 metrów. Żołnierz często zasypia maszerując. Dowódca plutonu lub drużyny winien pilnować, aby strzelcy nie zostawali w marszu i podczas przerw.

W czasie marszu podróznego oddział może być atakowany przez lotnictwo nieprzyjaciela, nawet zdala od frontu. Nalot samolotów nieprzyjacielskich podnietająco na żołnierzy niezupełnie jeszcze wyczerpanych. Nastąpi obawa zrzuconych bomb, lub strzałów broni maszynowej z samolotu, a tem samem i większy ruch, energia. Gdy jednakże w obawie przed stratami — oddział będzie zmuszony zejść z drogi, rozczłonkować się i maszerować przez pola — wtedy nastąpi większe zmęczenie maszerujących żołnierzy.

Jak widzimy z powyższego — to marsz nawet podróznym, zwłaszcza w czasie niepogody, silnych



przerw, a mimo to mniej odczuwa zmęczenie i pragnienie niż w kolumnie głównej.

W marszu ubezpieczonym będziemy podlegać działającemu na szerszą skalę lotnictwu nieprzyjacielskiemu — w związku z czym w czasie nalotów — żołnierz może przeżyć nawet chwilę śmiertelnego strachu i poczucia bezsilności, zwłaszcza w początkach wojny. Gdy jednak spostrzeże brak skutków działania lotnictwa — stanie się pewnym siebie i będzie małą uwagę zwracał na nieprzyjaciela w powietrzu.

Oprócz lotnictwa w marszu ubezpieczonym spotkamy się z napadami broni pancерnej, stréfami zagazowanymi oraz z kawalerją nieprzyjaciela. We wszystkich wypadkach najbardziej demoralizująco wpływa zaskoczenie, brak odpowiedniej organizacji służby alarmowej i fałszywe alarmy.

Z żołnierzy idących poza kolumną najsilniejszym wrażeniem podlegają ubezpieczenia boczne, gdyż posuwają się one przeważnie w odosobnieniu i mogą w każdej chwili zetknąć się z nieprzyjacielem i to przeważającym. Pozatem idą te ubezpieczenia po bezdrożach, a więc wyczerpują się fizycznie znacznie prędzej od maszerujących w kolumnie. Aby utrzymać ich wartość bojową — należy boczne ubezpieczenia często zmieniać. Jednakże idący na ubezpieczenia żołnierz zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności jaka na nim ciąży i dlatego nieraz wydaje z siebie energję nie spodziewaną nawet przez najbardziej wymagającego dowódcę. Po skończeniu pracy dopiero następuje odprężenie i przez kilka godzin mała zdolność do wysiłku.

Przy zetknięciu się z nieprzyjacielem nawet zmęczony żołnierz nabiera energii i dzielnie walczy. Rozpęd ten wykorzystany przez dowódców często daje zwycięstwo, zaniedbany lub słabo wykorzystany — niknie bezcelowo. Dlatego to nasz regulamin nakazuje jaknajbardziej energicznie działać zwłaszcza w boju spotkaniowym, a więc szczególnie ruchliwym.

Ogólnie biorąc w marszu ubezpieczonym oddział ma zawsze mniej odpadłych niż w marszu podróznym, spośród zaś oddziałów maszerujących marszem ubezpieczonym najmniej strat marszowych mają te oddziały, które spełniają służbę ubezpieczeniową.

c) *Marsz forsowny* — wymaga najwyższego napięcia energii i woli ze strony żołnierzy i dowódców. W tym marszu chodzi o to aby największą odległość marszową osiągnąć przy jak naj-



mniejszej jednak stracie ludzi. Największą rolę będzie tu odgrywało przekonanie o celowości marszu, a ponieważ nie zawsze dowódca będzie mógł tę celowość wyjaśnić ze względu na tajemnicę wojskową — żołnierz musi mieć zaufanie do swoich przełożonych i wierzyć, że oni prowadzą go zawsze celowo.

Maszerując, coraz dalej i dalej, żołnierz podlega coraz bardziej wielkiemu zmęczeniu, wszelkiego rodzaju niedogodności potęgują się, wzrasta pragnienie odpoczynku, chwileczki odpoczynku za wszelką cenę. Czasem słabnie wola — żołnierz opada z sił, blednie i wywraca się tuż przy drodze.

W takim marszu forsownym, widok jednego odpadłego działa ujemnie na innych najsłabszych żołnierzy. Natomiast nieocenionym jest w kompanii plutonie lub drużynie żołnierz, odznaczający się wielką wytrzymałością i świetnym humorem. Widziałem sam nieraz jak taki jeden wesoły żołnierz przez dowcipy i żarty podniecał do wysiłku kilkunastu osłabłych kolegów. Dowódca musi umieć takich żołnierzy wykorzystać.

Naogół marsz forsowny wyczerpuje żołnierzy fizycznie, moralnie zaś tylko wtedy jeśli żołnierz podejrzewa, iż marsz ten jest zbyt ciężki, lub co gorsza uważa go za błąd swoich przełożonych.

Po forsownym marszu może nastąpić bój lub dłuższy odpoczynek. Służba czat, placówek, czujek lub patroli, bywa po marszu forsownym słabo pełniona i wymaga kontroli jaknajczęstszych.

d) *Marsz nocny*. — Podobnie jak marsz forsowny, lecz jeszcze bardziej męcząco działa marsz w nocy. Jeśli marsz ten odbywa się po całodziennym odpoczynku — nie jest zbyt groźnym poza tem, że prędzej wyczerpuje niż w dzień. Najgorzej jednak czuje się w marszu nocnym żołnierz, który cały dzień maszerował lub wykonywał jakąś pracę bojową. Organizm wtedy domaga się snu i staje coraz bardziej zmęczonym. Do tego dochodzić może obawa niespodzianego napadu nieprzyjaciela. Obawa ta aczkolwiek więcej wyczerpuje, to jednak na sam okres marszu podnieca siły żołnierza i czyni go bardziej zdyscyplinowanym, bardziej dążącym do kolumny. Ogólnie biorąc marsz nocny jest ciężki i wymaga olbrzymiej energii ze strony żołnierzy i dowódców.

(d.c.n.) por. *Damazy Bański*

## BÓJ POD MOŁOTKOWEM

29. X. 1914 r.

W pierwszych dniach października roku 1914 wojsko o dość niesamowitym wyglądzie wyładowywało się z wagonów na małych stacyjkach węgierskich w pobliżu MARMAROSZ—SZIGET.

Mundury siwe lub szaro-zielone, a nakrycia głów bardzo przeróżne: drużyniackie i związkowe maciejówki, szerokoskrzydłe kapelusze sokolskie, zawiesziste bartoszkówki, podobne do tych, które wprowadzono ostatnio jako obowiązujące czapki wojskowe, wreszcie „biskupówki“, okragłe czapki z czterema małymi różkami, wysterczającymi z otoków.

A gwara tych ludzi znamionowała ich pochodzenie, głównie z b. zaboru austriackiego. Mieszala się tu najczystsza polszczyzna wykształconego inteligenta z żargonem lwowskich „batiarów“ i gwara podhalan.

Broń także była nierówna. Ugiął się jaki taki, jeszcze nie dobrze wyrośnięty projekt na żołnierza pod ciężkim jednostrzałowym Werndlem, inny znów z dumą wychwalał zalepty Schönauera później zwanego pospolicie „grekiem“, a inny zaś uczył się sztuki ładowania Mannlicera „buchniętego“ gdzieś w austriackim magazynie.

Można było widzieć także kompanję wecującą gorliwie ostrza bagnetów o przydrożne kamienie. Znać przypominała się tym strzelcom stara piosenka o bagnetów stali, co ją poostrzyć trzeba „o ojców grób“ a że to obczyzna — więc o byle jakie kamienie ostrzyli swe bagnety żołnierze 2-go i 3-go Pułku Legionów.

Nastrój był wesoły i poważny zarazem. Trochę w nim ciekawości, trochę zakłopotania u tych, którzy karabiny dopiero poraz pierwszy wzięli do rąk, a którym już wkrótce danem będzie pierwsze w życiu ostre strzały oddać od razu na polu bitwy. Panował przeogromny zapal i poświęcenia chęć dla idei wielkiej, za którą już od dwóch miesięcy walczyła w Królestwie inna grupa strzelców pod wodzą Józefa PILSUDSKIEGO.

Nie stało się zadość gorącemu pragnieniu tych żołnierzy, by iść do Królestwa, o polską ziemię walczyć wraz z tymi, którym dane było walić graniczne słupy rosyjskie w dniu 6.VIII.1914 r.

Mocą decyzji austriackiej A.O.K. (Armee Ober-Komando), nowe formacje legionowe zostały rzucone na Węgry, niby dla organizacji, a w gruncie rzeczy dlatego, że poprzez przełęcz karpaccie, zaczęły już przenikać nieprzyjacielskie wojska rosyjskie, którym słabe i zdemoralizowane oddziały austriackiego landsturm nie mogły dać rady.

Toteż w gotowości bojowej trzymały się oddziały legionowe wyładowane na małych stacyjkach węgierskich, uzupełniały naprędce swe braki organizacyjne i ruszały naprzód: jedne w stronę Marmarosz — Sziget a inne wprost na północ ku głównemu grzbietowi Karpat, który ziemię polską dzielił od węgierskiej. Na tym to szlaku, wyrosły Pantyr i Rogodza, tutaj powstała słynna „Droga Legionów“ z krzyżem karpaccim na najwyższym swym punkcie.

W dniach od 12.X do 22.X dokonano się przejście legionowych pułków 2-go i 3-go przez grzbiet karpaccie. Główne siły przeszły „Drogą Legionów“ do Rafajłowej, skąd, doliną Bystrzycy Nadwórniańskiej wysunęły się w okolice Nadwórnjej.

Krótki ten okres stanowiący jakoby preliminarja mołotkowskiego boju, obfitował w liczne potyczki, podjazdy i patrole, w których młody legionista zaczął pojmować wojnę w jej rzeczywistej postaci z nieodłącznym głodem, chłodem i wszami. Należałoby wymienić przedewszystkiem potyczkę 13-ej kompanji 3-go pułku w Rafajłowej, która znacznie silniejszą od siebie kolumnę rosyjską usiłującą przejść na Węgry, przepędziła aż do Nadwórnjej, a potem z samej Nadwórnjej, całą placówkę kozacką, żywcem wraz z końmi porwała i uprowadziła.

Wojskowy sens działań legionowych w kierunku Nadwórnjej był następujący:

Od strony Karpat wysunęła się austriacka dywizja 55-a gen. Hoffmana. W dniu 19.X opanowała





Stryj, gdzie czuła się mocno osamotniona i zagrożona. Wobec tego przełożony d-ca grupy armji gen. Pflanzler nakazał na 24.X połączenie się w okolicy Nadwórnej sił legionowych debuszujących doliną Bystrzycy Nadwórniańskiej z 56 dywizją austriacką gen. Attempa maszerującą doliną Prutu przez Delatyn, z tem, że dalsze uderzenie przez Nadwornę, Bolechow i Stryj wykonają już połączone siły legionowo-austriackie. Taka operacja, o ileby się udała, mogła znacznie wesprzeć gen. Hoffmana zagrożonego w Stryju (patrz szkic).

Dnia 24.X rozegrała się walka o posiadanie Nadwórnej i opanowanie przedpoła tej miejscowości w kierunku zachodnim i północnym. W wolnym rozwoju tych działań doszło 26.X i 27.X do zaciętych walk pod Hwozdem, Nazawizowem, Bohorodczanami i Cucytowem. Powoli położenie wyjaśniało się. Stało się jasnym, że nieprzyjaciel zorientował się w grożącym mu niebezpieczeństwie i nowe siły kierował przez Dolinę i Stanisławów przeciw Legionom. Tak tedy doszło do walnej rozprawy pod Nadworną, do bitwy, którą historycy legionowi nazwali mołotkowską z uwagi na to, że głównym jej ogniskiem był Mołotków, wieś położona na zachód od Nadwórnej.

Ciekawie wypada zestawienie sił obu stron walczących i płynące stąd szanse zwycięstwa.

Ze strony polskiej walczyły pułki legionowe 2-gi i 3-ci piechoty i garstka kawalerji, te same oddziały, które później zyskały oficjalną nazwę II Brygady Legionów, a które stworzyły później ogólnie znane w historii Legionów fakty:

Przebiecia się II Brygady pod Rarańczą w dniu 15.II.1918 na skutek pokoju brzeskiego.

Szarży pod Rokitną w dniu 13.VI.1915.

Tylko, że w dniu rozprawy pod Mołotkowem pułki późniejszej II Brygady były w stanie, rzecz



Dwór w Mołotkowie

można — embrjonalnym, jeżeli idzie o organizację, wyposażenie materialne i wyszkolenie.

Traktując oddziały II Brygady w płaszczyźnie ideowej, stwierdzić należy, że były one formacjami niepodległościowymi i jako takie były tworem myśli Józefa Piłsudskiego z jego woli powstałym. W stosunku do bratnich oddziałów, które walczyły w Królestwie, stanowiły one jakby drugi eszelon, złożony z najprzeróżniejszej gmatwaniny przedwojennych związków wojskowych, który niepomysłnym zrzadzeniem wypadków i wpływów znalazł się początkowo na Węgrzech, a potem debuszując przez przełęcze karpackie, z radością w sercach że przecież na polskiej ziemi będzie się bił, wkroczył w granice ówczesnej Galicji.

Wojska, które wzięły udział w mołotkowskim boju były zorganizowane w 2 pułki piechoty 2-gi i 3-ci, każdy po 5 bataljonów, 2 szwadrony kawalerji 2-gi i 3-ci i baterję artylerji.

Ogólny stan żywnościowy przed bojem wynosił około 8.000 ludzi, w tem na kawalerję wypadało 200.

Na uzbrojenie składały się w  $\frac{2}{3}$  nowoczesne karabiny Manlichery i Schönhauery, w  $\frac{1}{3}$  — Werndle, stara jednostrzałowa broń o dużym kalibrze, nie nadająca się do szybkiego ognia i bardzo ciężka, niewygodna.

Amunicji nie było zbyt wiele; trudną drogą przez przełęcz Pantyr przewieziono zaledwie 200 naboju na karabin.

Artylerja legionowa posługiwała się działkami jeszcze z ubiegłego stulecia, o lufach stałych. Strzelano dymnym prochem, to też stanowiska artylerji odrazu mogły być przez nieprzyjaciela odkryte, a baterja unieszkodliwiona.

Nie było karabinów maszynowych zupełnie. Pierwsze oddziały broni samoczynnej przybyły na front dopiero w grudniu.

Wyszkolenie było bardzo niedostateczne, gdyż większość Legionistów byli to ochotnicy dopiero w ostatniej chwili zaciągnięci, którzy w rozgwarze pierwszych dni wojny nie mogli przejść wyszkolenia strzeleckiego. I zjawiskiem normalnym było, że pierwszy strzał oddawał taki żołnierz na polu bitwy, zaledwie nauczywszy się przedtem od przełożonego lub kolegi jak karabin należy naładować i wycelować.

Wyekwipowania zimowego, pomimo spóźnionej pory w oddziałach nie było. Stan obuwia był zły, zupełnie brakowało namiotów, tak koniecznych w górach, gdzie brakowało kwater. Kuchen polowych nie było zupełnie, gotowano w kotłach, gdy była do tego okazja.

Wyekwipowania sanitarnego nie było prawie zupełnie, zaledwie 4-bataljonowe place opatrunkowe

obsługiwały całe wojsko, o urządzeniach sanitarnych i szpitalnych nie było mowy.

Zato duch w oddziałach był wysmienity. Niektóre z nich już ostrzelano w zwycięskich potyczkach ubiegłych tygodni wysoko niosły honor odniesionego doświadczenia, wszystkie zaś pały chęcią zmierzenia się z Moskalami.

Przeciwnikiem po stronie rosyjskiej była 71-a dywizja piechoty, złożona z pułków 281, 282, 283, 284 oraz pułk lub dwa pułki kozackie.

71-a dywizja, zmobilizowana z obszarów południowo-wschodniej Ukrainy, miała w swym składzie głównie Ukraińców, Tatarów i spory odsetek Polaków wśród oficerów i szeregowych. W tej właśnie dywizji służyli gen. Żeligowski, gen. Jacynik i szereg innych wybitnych oficerów naszej dzisiejszej armji.

Stany liczbowe dywizji były pełne, i wynosiły zgórą 250 ludzi na rotę (kompanję) rot w pułku 16 a więc razem około 16.000 ludzi.

Ilości zaangażowanej artylerji ani C. K. M. nie udało mi się dotąd ustalić. Ówczesne meldunki polskie podają 16 dział i 24 K. M. Toby się równało jednemu dywizionowi artylerji (3 baterje po 6 dział) i trzem kompanjom pułkowym C. K. M. po 8 C. K. M. Ocena ta wydaje się zbliżona do prawdy.

Wyszkolenie oddziałów rosyjskich było bardzo dobre. Z punktu obserwacyjnego polskiego dowództwa można było ocenić niebywałą sprawność rozwijającej się piechoty. I nic dziwnego: w owym czasie duża ilość podoficerów i drobniejszej szarży była w kompanjach, a podpraporczyków po kilku. Nie od rzeczy będzie również zaznaczyć, że wytrzymałość i siła fizyczna ukraińskiego chłopca musiała w starciach na białą broń dawać zdecydowaną przewagę Moskalowi nad nieletnim najczęściej Legionistą.

Z przytoczonego opisu wydaje się pewne, że dwukrotna przewaga piechoty, kilkakrotna przewaga kawalerji, a zwłaszcza artylerji, pozatem wyłączność wyposażenia w karabiny maszynowe, dawały nieprzyjacielowi już w samym założeniu tego, co miało nastąpić, zdecydowaną przewagę.

W krótkich ramach opisu nie sposób wyczerpać, ani nawet w części opisać boju, w którym młody legionista, słabo wyszkolony, liczebnie dwa razy słabszy, zupełnie bez pomocy karabinów maszynowych i prawie bez artylerji zdołał jednak przez cały dzień wytrzymać napór silnej rosyjskiej dywizji, wyposażonej bogato w broń maszynową i działa. Gdyby 56-a dywizja austriacka rzeczywiście chciała walczyć, to wynik bitwy może byłby inny. Oto gen. Attempson bowiem był zamianowany dowódcą

w tej rozprawie, polecił oddziałom legionowym stoczenia wstępnego boju, swoją zaś dywizję trzymał w odwodzie, by potem interwenjować zależnie od położenia; tak przynajmniej mówią oficjalne dokumenty z tych czasów.

W rzeczywistości austriacki „towarzysz broni“ do końca bitwy trwał z bronią u nogi i poza strefą ognia, pozwalając na to, by w odległości kilku kilometrów zaledwie rozegrał się bój słabszego z mocniejszym. Zaledwie 1 baterja dział i 2 bataljony pospolitego ruszenia wsparły wysiłek legionistów.

Gen. Durski, zdany na swoje własne siły, podjął walkę z myślą zaczepnego rozwiązania boju, skrzydłowym natarciem odwodów.

Niestety, nie wszystkie oddziały wyznaczone do odwodu stały się na czas, zaś nieprzyjaciel ruszył wcześniej rano dnia 29.X trzema wielkimi kolumnami od strony Sołotwiny i Bohorodczan ku Nadwornej.

Pod naciskiem nieprzyjaciela plan bitwy stopniowo przeradzał się i wypaczał, siły legionowe przeznaczone do skrzydłowego uderzenia topniały, wreszcie odwody poszły w bój już nie po zwycięstwo, lecz na pomoc kpt. Roji, ostatkiem już sił trzymającemu się na czele 2 bataljonów w Mołotkowie.

A gdy około godz. 15 wyszedł rozkaz gen. Durskiego do lokalnego cofnięcia się i zajęcia tyłowych pozycji odległych 2 do 3 klm., okazało się to niewykonalne. Rosjanie bowiem obchodzili lewe skrzydło polskie zagrażając już nie tylko Nadwornę, lecz także naturalnej linii dowozowej i odwrotowej przez Pniów i Pasieczną ku Rarańczowej.

Ostatnim zrywem energii poszły oddziały lewego skrzydła do przeciwnatarcia, pod samą nie-



Począty sztandarowe dawnych pułków II Bryg. Legionów w czasie 15-lecia bitwy w Mołotkowie



mal Nadworną i zdołały zatrzymać napierającego nieprzyjaciela, umożliwiając tem samem odwrót reszty oddziałów.

Ku Nadwórnej spływały oddziały i luźne grupy legjonistów, kierowane dalej doliną Bystrzycy Nadworniańskiej w górę rzeki: pierwszy smutny odwrót. Nieprzyjaciel nie przeszkadzał; widać nabrał respektu.

Straty polskie poniesione w bitwie były ciężkie. Zabitych było stu kilkudziesięciu, więcej niż 500 rannych przetransportowano drogą Legjonów na Węgry. Do niewoli dostało się zaledwie kilkudziesięciu rannych legjonistów. Początkowo wydawało się, że straty będą jeszcze większe, gdyż w chaosie bitwy zakończonej już po zmierzchu wielu żołnierzy zgubiło swe oddziały. Ci legjoniści przez szereg następnych dni odnajdywali się, prowadzeni nieraz w przebraniach przez tamtejszą życzliwą ludność huculską.

Bitwa mołotkowska była oczywiście przegrana. Przegrał ją jednak, nie żołnierz, który stawał nad wyraz mężnie i ofiarnie, lecz dowództwo, które nie umiało zdobyć się na skupienie odpowiednich sił do głównego uderzenia. Żołnierz legjonowy źle odżywiany, źle ubrany, do tego słabo wyszkolony, dokazywał cudów odwagi osobistej. Raporty dowódców, którzy posiadali stare karabiny Werndla, tchną rozpacz,



bowiem broń słabo działała lub nie działała wcale; pozostawał tylko bagnet. Mimo to żołnierz rychło otrząsnął się z przygnębienia, Werndla przy pierwszej sposobności zamienił na Manlichera, jeszcze mocniej zwarł się w sobie, zahartowany na dalsze losy koleje; potrafił przejść całą kampanję karpacką trwającą do lutego 1915 r., która miano „Karpaczyka“ mu przyniosła.

Mołotków do dziś dnia pozostaje celem wędrówek w rocznicę bitwy. Żyje w cichym dworku mołotkowskim p. Matkowska, wielka opiekunka legjonistów. Tam rok rocznie zbierają się legjoniści, uczestnicy bitwy, chłopców swych przywożą, czcigodnej matronie ręce całować każą i dziękować za serce, które jak dawniej tak i dziś gotowe jest każdego leguna przygarnąć, ugościć i pomoc nieść w potrzebie. A potem prowadzą to młode pokolenie na grób stukilkudziesięciu bohaterów, którym nie było dane doczekać szczęśliwej chwili dzisiejszej.

Gdy zaś kilku legjonistów nad mogiłą mołotkowską zejdzie się, to już wedle tradycji śpiewają — Śpij kolego w ciemnym grobie — podumają trochę, potem wzrokiem ogarną stoki Bzowacza, Wielkiej Hygi i Werpila, szepcząc: tak mało zmieniło się tutaj na mołotkowskim polu...

## ECHA MINIONYCH LAT

### PIERWSZE CZUWANIE...

(Z okazji pierwszej nocnej czujki)

*Noc była. Wokół czerniły się zwarte, smukłe kolumny drzew i cicho było... Jeno górą szedł senny poszum, lekki jak tchnienie, jak szeptał modlitwy cichy. Czasem tylko zatrząsał rozbudzony ptak, sadowiąc się wygodnie wśród gałęzi. Las spał. A u stóp drzew wyniosłych tuliły się w worku cztery z pęków paproci i traw wyplecione, harcerek szalasy. Dobroczytny sen ogarnął wszystko — i las i tych, których spokojny, miarowy oddech słychać było w szalaszach. Opodal — o kroków kilkanaście oddalony, dzierżąc w dłoni kij harcerek — czuwałem.*

*A cichy, senny poszum boru zaczął mię przenikać, do duszy się wsączać, szeptać dziwne tajemnicze słowa... Szeptal mi o tych, którzy swój dom i rodzinę odbiegłszy, tu dom swój mieli, tu rodzinę i tu swą mogiłę!...*

*Szumiał bór scicha o tych dla których był ostatnim rok 1863-ci... Szumiał mi o Ksawerym Horodyńskim pułkowniku, który tu w tych lasach pod Radziwiłłowem poległ z garstką bohaterów powstańców szumiał o ich zapomnianej gdzieś tu mogiłę...*

*I zdawało mi się, że to obóz powstańców, że czuwać czy wróg nie nadchodzi, czy się gdzieś w gąszczach nie czai... Zdawało mi się, że słyszę ostatnie ich strzały, ich jęki — lecz ni jednej prośby o życie, ni jednej skargi...*

*Zdawało mi się, że ten szept lasu to modlitwa — za tych cichych ofiarników więc i ja modliłem się nie słowami lecz sercem, duszą!... Nie było mi straszno — nie byłem tu bowiem intruzem, byłem na swej ziemi — jej dzieckiem, jej synem się czułem. I gdy w ciszy rozległo się pytanie: warta! odpowiedziałem spokojnie — jestem i szkolei zapytałem: Hasło? Lignica! Odzew? Psie Pole!*

*I znowu cisza i znów spokojnie las cicho szumi i nowe mi szeptać słowa... Już nie o tych z przed lat wielu, ale o tych, których mogiły ledwo trawa porosła. O tych mi szeptać, którzy tu legli na własnej ziemi, lecz w obronie obcej sprawy i o tych, którzy, aż tu przygnani gdzieś zdaleka rozkazem cara lub cesarza grób swój tutaj znaleźli, o tych wszystkich mi szeptać, których tu wzrosły mogiły. Osiem ledwo lat minęło jak z hukiem i świstem pękały tu granaty, kładąc pokotem i ludzi i drzewa... Niejeden może szary w stalowym hełmie żołnierz w gąszczu leży śmiertelnie ugodzony kulą, nie znaleziony, nie pogrzebiony dzierżąc jeszcze broń dłonią szkieletu.*

*Lecz już ucichła wrzawa wojenna — i tylko wiatr zmarłym z cicha »Requiem« szumi... Mrok rzędąc zaczął. Nad las wzniosły się mgły poranne, a rześki wiatr zaczął silniej bujać szczytami drzew. Z za lasu i z pół doleciał daleki śpiew przepiórki: pit... pilit! pit... pilit! Na niebie zajaśniały pierwsze blaski. — Dniało... Siedem lat minęło od tej chwili, siedem długich lat. I w tę noc w której z karabinem w ręku w żołnierskim mundurze nocne czuwanie odbywałem, powrócił czar i urok niewysłowiony owej nocy, nocy w rodzinnym lesie, wśród modlitewnych poszumów boru spędzonej, wśród wspomnień sercu drogich. Żywo mi przed oczyma stoi ta niezapomniana noc, gdy mając lat szesnaście odbywałem pierwszą swoją wartę i pierwsze swe czuwanie...*

Strz. z cenz. Marjan Palamarczuk.

Tarnopol.

## NOWA FORMA PRACY SPOŁECZNEJ W S. P. R. A.

Czytelnicy zapewne zapomnieli już o króciutkiej notatce kan. z c. J. Lerskiego, notującej parę tygodni temu zorganizowanie u nas nowej imprezy o charakterze ciągłym — „Tygodniowej kronice prasowej“.

Sprawa ta rozrosła się z terenu baterji I-szej przeszła na teren całej szkoły, wygrała próbę życia i doszła do znaczenia ważnego czynnika w życiu społecznem S. P. R. A. — dlatego właśnie na zaproszenie Naczelnego Redaktora pragnę szczegółowiej nieco teraz ją omówić, wskazując przytem na jej cel, organizację, technikę pracy — z wyraźnym jednocześnie podkreśleniem zachęcenia kolegów wszystkich Szkół do podjęcia wysiłków w tym samym kierunku.

Jeżeli bowiem akcja ta okazała się pożyteczna i ma już nawet entuzjastów u nas — napewno wniesie nowe wartości do życia społecznego także i innych Szkół.

Każdej niedzieli o godzinie 14,30 (termin stały) spotykają się koledzy z większości baterji w czytelnicy Szkoły. Tam odbywają się „Kroniki“.

Polegają one na tem, że kilku referentów (obznajmionych z tematami omawianymi — przez studia w cywilu i osobiste zainteresowania) wygłasza kolejno krótkie — kilkunastominutowe przemówienia na temat najważniejszych wydarzeń w świecie — ostatniego tygodnia. Referaty te są obiektywne, opracowane tylko i wyłącznie na podstawie prasy, absolutnie pozbawione akcentów politycznych. Zwykle występuje kilku mówców od czterech do



U konowiazu

fol. Klarner

sześciu — bezwzględny przytem warunkiem dla nich jest mówienie z pamięci, a w żadnym wypadku ze skryptu.

Mówcy nie zawsze są ci sami — jednym z celów bowiem „Kroniki“ jest czynne zainteresowanie największej liczby kolegów z zagadnieniami życia zarówno wewnątrzno-państwowego jak i międzynarodowego. Przez powierzanie różnym kolegom pewnych tematów do opracowania na podstawie prasy — wyrabia się w nich zainteresowanie tą prasą i zmysł dziennikarski, polegający na umiejętności czytania gazet (co bynajmniej nie jest takie proste i jasne, jakby się to wydawało).

„Kronika“ ma charakter aktualny — wszystkie ostatnie i najważniejsze wypadki są w niej sygnalizowane. Rzecz oczywista, że musi to wytwarzać pewną dorywczość i nieuregulowanie.

Żeby jednak obok celu ściśle informacyjnego zrealizowano także jej cel kształcący — wyodrębnione jakgdyby zostały dwa działy (najważniejsze): gospodarczy i polityki międzynarodowej.

Tym działom poświęcono główną uwagę i praca w nich — obok charakteru „sygnalizowania“ — prowadzona jest (jeśli tak wyrazić się można) od podstaw. Nie ograniczamy się więc w tych działach tylko do suchego mechanicznego notowania wydarzeń, ale przedstawiamy je, jako części problemów o charakterze znacznie rozleglejszym. Omawiając je, zaznajamiam się słuchaczy jednocześnie z zasadniczymi elementami, niezbędnymi dla przeciętnego



Wytaczanie dział

fol. Klarner



czytelnika w rozumieniu wogóle zagadnień gospodarczych czy politycznych.

Pozwolę sobie na przykład:

Znane ogółowi ostatnie wydarzenia na terenie Azji, podane słuchaczowi bez komentarzy najprawdopodobniej niewiele powiedziałyby mu. Jeżeli jednak scharakteryzować je, jako epizod olbrzymiego zagadnienia imperjalizmu i ekspansji Japonji, jeśli zapozna się słuchaczy z głównymi elementami walki na Pacyfiku między Anglią, Stanami Zjednoczonymi i Japonją — jeśli następnie rozpatrzy się wspomniane wypadki na tle historii Chin, jako odwiecznego nieomal przedmiotu polityki narodów — słuchacze nie tylko zrozumieją właściwą wagę lakonicznych wzmianek prasy, ale już i na przyszłość potrafią samodzielnie bieg wypadków śledzić i samodzielnie w nich orjentować się.

Każda „Kronika“ trwa do 60 min. Znaczna stosunkowo (jak na ten króciutki okres czasu) liczba referatów ma wprowadzić urozmaicenie i tem większą fachowość.

Niezbędnym warunkiem uzyskania odpowiedniego poziomu jest posiadanie większej ilości rozmaitych czasopism — o różnym możliwie charakterze. Fundusze koleżeńskie, czytelnie szkolne, czy wreszcie prywatne prenumeraty — piękną tu rolę społeczną spełnić mogą.

Drugim warunkiem równie ważnym jest odpowiedni dobór prolegentów. Mają to być ludzie z wyż-

szem wykształceniem, traktujący o zagadnieniach, będących przedmiotem ich studjów w życiu przedpoborowym — nie trudno jednak najczęściej o takich, gdy jesteśmy... z cenzusami.

W Polsce zainteresowanie prasą jest niezmiernie nikle. Pod względem ilości czasopism i wysokości ich nakładów stoimy na jednym z ostatnich miejsc w Europie powojennej. Podobne imprezy, podkreślając więc rolę prasy w ogólnym procesie kształcenia osobistego — spełniają i w tym względzie odpowiednią rolę.

Zresztą roczna służba nie może i nie powinna odciąć nas zupełnie od świata pozakoszarowego i od otaczającej nas rzeczywistości polskiej.

W dzisiejszym okresie rok czasu stanowi olbrzymi okres przemian, doświadczeń, inowacyj i osiągnięć w życiu społeczeństw.

Służba wojskowa, pewnie że ciężka i wyczerpująca — bynajmniej nie przeszkadza nam choćby obserwować życia i trzymać ręki na jego pulsie.

I dlatego, gdy nam udają się te pożyteczne imprezy we Włodzimierzu — czego dowodem wzrastające zainteresowanie i wzrastająca liczba słuchaczy — rzucamy *Kolegom ze wszystkich Szkół Podchorążych wezwanie:*

*Spróbujecie i Wy! — bo warto!*

Bomb. z cenz. J. Kozielewski  
Włodzimierz.

## PANOWIE PROSZĄ PANIE...

Podchorążowie Szkoły Podchorążych Artylerji zapraszają na sobótkę, która odbędzie się w salach kasyna SPArt. w dniu 16 listopada...

— Daję gotówką złoty pięćdziesiąt za pożyczanie sztybletów.

— Daj trzy...

— ...daję trzy!

— ...to i tak ci nie pożyczę.

— Ile zaproszeń rozesłanych?

— Dwieście.

— Pięćdziesiąt procent przyjdzie.

— Pierwsza sobótką w tym roku szkolnym, początek sezonu.

— Panem et circenses.

Nad głównym wejściem do kasyna płonie czerwonozielone SP. Chronicznie zakatarzona taksówka wyrzuca z ciasnego wnętrza kilkanaście osób. Na popielatem tle chodnika przesuwały się koncentrycznym ruchem długie, giętkie cienie i giną w jasnej plamie drzwi. Po zastłonach na oknach migają karykaturalnie powyginane marjonetki.

Czerwone lampasy chasserów, trochę złotych. Granatowe mundury marynarki wojennej. Wieczorowe toalety. Przeważnie czarny i niebieski kolor. Pstra mozaika barw.

— Uwaga ósmy pae!

Panowie podporucznicy w komplecie. Są bardzo dostojni i w miarę przystępni. Debiut.

— „Kaprys“.

— Napewno „Kaprys“.

— Ręczę panu, że to „Rumbolero“.

— Oj, nie... już mam... „Na falach Dunaju“.

Przedziwna melodia płacze nogi, w zdumienie wprowadza muzyczny słuch, tylko na nerw artyleryjski działa kojąco, przypominając łoskot stępującej po bruku baterji. Orkiestra jest na balkoniku pierwszego piętra. Nieosiągalna, nie jej nie można zrobić. Może to też debiut.

— Bardzo przepraszam.

— Mam wrażenie, że pan zgubił takt.

— To nie ja proszę pani, to orkiestra.

Generalny gospodarz, dowódca pierwszej baterji przynosi majestatycznym ruchem swą postać z jednej sali do drugiej. Jest wszędzie i nigdzie. Wzrok ma ponury. Czuwa.

— Ależ wspaniała dziewczynka.

— Gdzie? No wiesz, to coś z nowego narybku.

— Mówię ci, epokowa. Te włosy...

— Muszę przyznać, że remonty w tym roku udały się.

Strumień zimnego powietrza wpada przez otwarte okno. Białe firanki wydymają się melancholijnie. Na podłodze jest parę wężyków serpentyn i czerwony płatek zdeptanej róży.

Po schodach ciągnie pielgrzymka do apartamentów niżej położonych, gdzie króluje jejmość o makabrycznym wyrazie twarzy, błyskawicznie przenosząca swą korpulentną postać wzdłuż bufetu.

— O, panie poruczniku jeszcze jeden dakowiec.

— Gdzie? Ten. Dajże spokój. Który dak?

— Trzeci, panie poruczniku.  
— Dobry dak. Trzeba wypić. Niech tylko podchorąży tam się dostanie.

— A nasz Edzio niech nam żyje,

On nas kocha, z nami pije,

Dżist, alej...!

— I za tego noworodka!

— Za trzydziesty czwarty dak!

Ale i inne pale i pace i daki, pape, pany i pamy też mają swoje prawa. Pozatem jest bardzo dużo toastów natury lokalnej.

— Skąd podchorąży tę blondynkę przyprowadził?

— Z raju, panie poruczniku.

— Brwi ma sztuczne?

— Własne, sprawdzałem.

— O, to trzeba wypić.

Na górze robi się mazur. Wodzirej ma wspaniały rozmach, pewność siebie i zamaszystość ruchów. Od czasu do czasu przemawia krew [pradziadów i usiłuje podkreślić trzy włoski, stanowiące problematyczny podkład pol in spe wasy.

Salę otacza wianek ludzi dobrej woli, którzy z maestriją matronów tańca w sposób bezapelacyjny, nie znoszący sprzeciwu, krytykują zapalonych, szkoda że nielicznych mazurzystów.

— Jurek stanowczo za wysoko podskakuje.

— Młody jest, pozatem ma mistrzostwo szkoły w skoku wzwyż.

— Ale to nieelegancko. Dziesięć centymetrów wystarczy. Gdyby mnie noga nie bolała, to ja bym mazura poprowadził.

— Eche...

— Zdaje się, że ta brunetka ma krzywe nogi.

— Zawracasz głowę, przecież nic nie widać.

— To tak się zdaje. Potem specyficznie pochyleniu głowy na lewą stronę można sądzić, że ma zupełnie krzywe nogi...

— Mogliby już skończyć.

— Dopiero zaczęli. Zejdźmy do Hadesu.

Czerwono-zielone wstążki wirują nad naramiennikiem wodzireja. Mazur, to bardzo piękny taniec.

Duża wskazówka zegara rozpoczęła niedzielę.

— Panno Ulo, można prosić o następny taniec?

— Panno Lu, fox dla mnie.

— Dla mnie slowfox.

— A dla mnie „Kaprys“.

— A ja?

— Zaraz, zaraz. Mogę panu dać... piąty taniec.

— Piąty, to ja do tego czasu zapomnę. Rezygnuję.

— L'embarras de richesse?

Bloczki z kuponami honorowanymi przy bufetach z chwilą na chwilę stają się coraz cieńsze. Ktoś nieostrożnie strącił na podłogę kieliszek. Pękł z trzaskiem. Na szczęście. Na czołach występują drobne, mieniące się w blasku lamp kropelki potu.

Ktoś spogląda na zegarek.

— Jak się pani bawi?

— Panie Mundku?

— ?

— Jak można zadawać podobne pytania?

Czasu niema. Times is money.

— W następną sobotę będzie pani u nas?

— Może.

— Napewno?

— No oczywiście, ale...

Trudno podchwytwać w rozgwarze orkiestry i zmieszanych głosów sens prowadzonych rozmów.

Duża wskazówka zegara zaczęła o kant czarnej czwórki, opadła i powoli pełza dalej. Mała spazmatycznie skacze, przeskakuje minuty, kwadransy, godziny, noc całą... traci rachubę czasu. Rwie się na strzępy cała noc. Cała.

Zgasły światła.

Na kanapie zwiędłe astry.

Ktoś komenderuje jeszcze niepewnym głosem.

— Po trzy... kośba czte...ry obroty...

— Od prawego baterjal!

Zastępcze kostki na taboretach. Buty kpią z regulaminu musztry pieszej paragrafu o podstawie zasadniczej. Prześladowuje jakaś dziwnie natrętna melodia. Jakżeż ona wspaniale tańczy. Na korytarzu rozbija się jeszcze jakiś lunatyk. Niebieskie oczy i czarne brwi. Sztuczne? Ale i skądże. Chociaż nie sprawdzałem. Usta ma własne. Za oknami szaro. Na sznurkach chodzą duże czarne koty.

Toruń SPArt.  
(Cykl: Kronika Sparty)

pehor. Zbigniew Zajączkiewicz



## W KILKU WIERSZACH

Armja japońska wyposażona została w nowe przeciwnolotnicze najcięższe karabiny maszynowe o kal. 13,2 mm. Składają się one z 2 sprzężonych km. Hotchkiss, umieszczonych na jednej podstawie, tak że ogień z jednego lub obu km. otwiera się przy pomocy nożnego pedału. Szybkostrzelność całego km. (z obu karabinów maszynowych) wynosi 900 strzałów na minutę — donośność 6000 metrów Waga pocisku 52 gr.

Włochy są jednym z państw posiadających najlepszą artylerię. Artylerja włoska jest nowoczesnie uzbrojona, silna liczbowo i po większej części zmotoryzowana. Stosunek ilości żołnierzy artylerji do piechoty wynosi 1:2, podczas gdy np. we Francji 1:3, a w Niemczech 1:5. W użyciu znajduje się w armji włoskiej 1240 lekkich i 1000 ciężkich dział, 90 plotn. i 273 dział piechoty. Artylerja włoska zorganizowana jest w 67 pułkach.



Niedawno odbył swą próbną jazdę największy samolot-bombardujący powietrznej floty wojennej Stanów Zjednoczonych Am. Płn. — „Boeing 299”. Samolot ten waży 15 ton, posiada 4 motory, zbudowany jest z metalu, uzbrojony w 5 CKM. Oprócz wielkiej ilości bomb i materiałów wybuchowych mieści w sobie załogę składającą się z 10 osób.

Opracowany ostatnio projekt budżetu japońskiej marynarki wojennej na 1936 r. przewiduje sumę 712 milionów yen, w czem wydatki zwyczajne 402 miliony, nadzwyczajny 310 milj. yen.

Powyższy budżet jest o 180 milj. yen wyższy od zeszłorocznego, mimo to ministerstwo marynarki zapowiada dalszy wzrost zbrojeń. Z powyższej sumy przeznaczono m. in.:

na budowę okrętów	156 milj. yen
lotnictwo morskie	22 „
fortyfikacje	72 „
remont i uzbrojenie	„
okrętów	78 „
materiał wojenny	48 „
nowe okręty	13 „

Na konferencji rozbrojeniowej w 1931 r. Włochy oświadczyły, że posiadają ok. 1500 samolotów wojskowych. W styczniu 1932 r. liczba ich wynosiła 1800, w styczniu 1934 r. — 2300. Obecnie Włochy posiadają około 2600 samolotów wojennych, przyczem personel floty powietrznej wynosi ok. 2600 oficerów, ok. 5000 podoficerów i ok. 20000 żołnierzy.

Siły zbrojne Australji wynoszą 30000 ludzi, w czem 2000 milicji krajowej (Citizens Forces). Wśród sfer wojskowych panuje ogromne niezadowolenie z obecnego kontyngentu ochotników i czynione są starania o przywrócenie powszechnej służby wojskowej, co natrafia jednak na poważne przeszkody ze względów finansowych. Armja jest w stanie reorganizacji i sformowana będzie w 2 dywizje, zamiast jak dotąd 5. Siły lotnicze Australji mają być powiększone o ok. 100 nowych jednostek, w czem 72 samoloty, 24 hydroplany i 12 aeroplanów szkolnych. Powiększona będzie również flota wojenna o 2 krążowniki i 1 torpedowiec.

W armji włoskiej przerobione zostały c. k. m. piechoty w ten sposób, iż dotychczasowe lufy o kal. 6,5 mm. zamienione zostały na nowe o kal. 8 mm. Obecnie waga c. k. m. włoskiego wynosi 40,2 kg. — szybkostrzelność 600 strz./m.

Austria przystąpiła ostatnio do reorganizacji armji. W wojsku austriackim nie było dotychczas kawalerji ani jednostek zmotoryzowanych. Obecnie formuje się specjalną lekką dywizję, w skład której wejdą: brygada motocyklistów, dragonów, baon samochodów pancernych oraz dyon artylerji zmotoryzowanej. Przeprowadzona została rozbudowa istniejących obecnie 6 brygad piechoty, zamiast których utworzone zostaje 6 dywizyj piechoty o sile 2 — 4 pułków, po 3 baony każdy oraz pułku artylerji lekkiej. Przystąpiono również do organizacji lotnictwa wojskowego, które dotąd zalążone było przez Traktat Wersalski.

Hiszpanja przeznaczyła ostatnio 447 milionów pesetów na odnowienie i powiększenie floty wojennej i fortyfikację wysp Balearskich. W programie zbrojeń przewidziana jest modernizacja krążowników, budowa 10 łodzi

podwodnych, 12 torpedowców po 800 ton, 8 okrętów minowych, 12 kanonierek i 12 transportowców. Wykonanie programu rozłożone jest na 4 lata.

W dniu 15.X 1935 r. w Wojskowej Szkole Inżynierji w Leningradzie odbyła się I promocja poruczników armji sowieckiej — po wprowadzeniu stopni oficerskich w czerwonej armji. Nowomianowani oficerowie przydzieleni zostali do oddziałów technicznych.

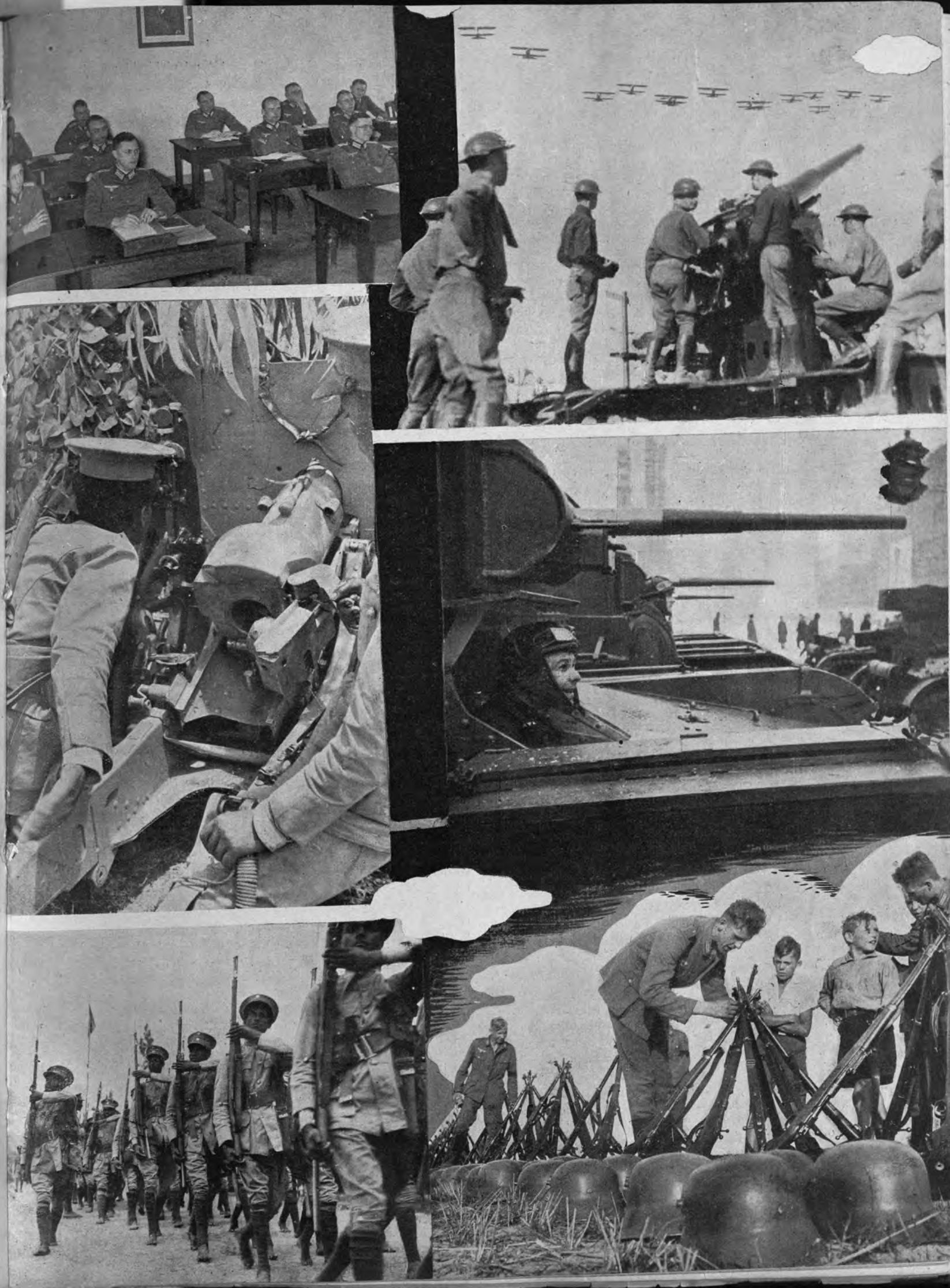
Włochy posiadają obecnie pod bronią jedną z najsilniejszych w Europie armij, w liczbie przeszło milion żołnierzy. Liczba ta obejmuje ok. 710 tysięcy wojska regularnego i 388 tys. milicji faszystowskiej. W 1913 r. Włochy posiadały pod bronią ok. 305000 ludzi. Dzięki wyszkolonym rezerwom Włochy mogą w razie potrzeby wystawić niemal natychmiast armję 2.085.000 ludzi, którą następnie mogą podnieść do 6.500.000 ludzi.

Jak wynika z sowieckich danych statystycznych siły zbrojne Z. S. R. R. sięgają 10 milionów ludzi. Stan armji czynnej wynosi 1,5 miliona żołnierzy i 40.000 oficerów. Wyszkolone rezerwy sięgają liczby 8,5 miliona ludzi, tak, że w razie wojny w krótkim czasie Z. S. R. R. wystawić może armję 10-miljonową. Sowiecka lekka artylerja rozporządza obecnie 4.500 armatami, podczas gdy jeszcze przed 3 laty posiadała 2.400 armat. Liczba tanków wzrosła w armji sowieckiej w ciągu 3 lat z 350 na 3.500. Sowieckie lotnictwo wojskowe posiada 4.300 samolotów, w czem 150 ciężkich samolotów bombardujących.

Anglja realizuje szybko uchwalony przez parlament plan rozbudowy wojennej floty powietrznej. Dotąd zakupiono już 19 wielkich przestrzeni na bazy lotnicze oraz 6 nowych poligonów dla samolotów bombardujących. Otwarto 5 nowych szkół lotniczych. W budowie znajduje się około 2.000 nowych aparatów. Aparaty te posiadają tak znaczną szybkość, że najwolniejszy z nich ma szybkość 240 km/godz. najszybsze sięgają 400 km/godz.

Doświadczenia z wojny w Chaco (wojna między Boliwią i Paragwajem) wykazały, że rowy strzeleckie dla leżących stanowią znakomitą osłonę przed ogniem piechoty, a nawet przed odłamkami granatów. Tak np. w bitwie w końcu 1934 r. bataljon paragwajski składający się z 280 ludzi został otoczony na przestrzeni około 200/200 mtr. i ostrzelany 400 pociskami 8-cm. z miotaczy min. Jak się potem okazało straty wyniosły zaledwie 80 zabitych i ciężko rannych, zaś strat w broni maszynowej nie było żadnych. Tłumaczy się to zapewne tem, że walka toczyła się w puszczy dziewiczej, która dając znakomitą ochronę z drzew stwarza zupełnie specjalne warunki walki.

Rektorzy wiedeńskich uniwersytetów otrzymali okólnik rządowy, wyjaśniający, że ochotnicy, przyjęci do służby wojskowej mogą być wyjątkowo zapisani zarówno w letnich jak i w zimowych semestrach. W Austrii zgłosiło się obecnie tak wielu młodych ludzi do służby wojskowej, że zabrakło funduszy na opłacanie prywatnych kwater. Rząd powrócił wobec tego do przedwojennego systemu z czasów monarchji, zezwalającego ochotnikom w czasie jednorocznej służby wojskowej mieszkać, utrzymywać się i ubierać prywatnie. Ochotnicy znajdujący się w cięższych warunkach materialnych mają być umieszczeni w koszarach i w tym celu rozpoczęto budowę wielkich koszar w Grossenzendorf pod Wiedniem. W przyszłości miasteczko to ma otrzymać osobny garnizon.





PODCHORAŻOWIE REZERWY

Dnia 10 grudnia 1935 r. odbyło się Likwidacyjne Walne Zgromadzenie Sekcji Podchorążych Rezerwy przy Zw. Oficerów Rezerwy we Lwowie, w związku z uchwałą Zjazdu Delegatów Z. O. R. w Warszawie, mocą której podchorążowie rezerwy, zostali przyjęci na pełnych prawach do Związku O. R.

W szeregu przemówień przedstawiono historię rozwoju i prac Sekcji Podchorążych, oraz znaczenie wspomnianej uchwały Zjazdu Delegatów Z. O. R. łączącej podchorążych i oficerów rezerwy w jednolitej wspólnej organizacji, która to uchwała spotkała się z ogólnym uznaniem. Wybór Komisji Likwidacyjnej i uchwalenie wniosków wyrażających uznanie tym, którzy przyczynili się do przeprowadzenia uchwały o równouprawnieniu podchorążych w Z. O. R. zakończyło zjazd.

BALONOWCY Z TORUNIA  
WSTĘPUJĄ W SZRANKI LITERACKIE

„Wszystko ma swój koniec” — powiedział jeden z mędrców greckich, rozważając teorię zwalczania kryzysu. Mądre te słowa podchwycił niejeden z wytwornie ubranych w kolorze ochronnym młodzieńców 2 stycznia 1936 roku, powiewając chusteczką zaplakanym Krysiom, Oleńkom, Michalinkom... z sapiącego pociągu pod ciężarem utuczonych przez święta podchorążych.

Nie wszystkim jednak było danem wracać do miejsca skąd wyruszyli na pierwszy, a tak rozkoszny urlop. Znalazła się garstka wybrańców „Cebuli” (C. B. L.), którzy przeszli wszelkie kręcenia, przysiady, łamiągówki i t. p. i t. p., zaliczając się tem samem do Szkoły Podchorążych Rezerwy przy 1-ym Bataljonie Balonowym w Toruniu. Tam właśnie przyszłych obserwatorów balonowych zawiozły pociągi ze wszystkich stron Polski. Nie przesadam zupełnie — mamy wszak i szalenie miłych „tajojków” ze Lwowa, górali z Nowego Sącza, Poznaniaków, Krakowiaków, Toruniaków, no i naturalnie stolicę ma też reprezentantów w tej najmniejszej Szkole Podchorążych, gdyż obejmującej zaledwie małą grupkę dawnych piechurów.

W szkole powitał nas z-ca D-cy Baonu kpt. Gumiński, otwierając naszą Szkołę Podchorążych, pięknym, żołnierskim przemówieniem.

Niejeden z czytelników chciałby wiedzieć, co właściwie robią ci w złotych otokach, ci z „nadętej konkurencji lotnictwa” w Toruniu. Jedno mogę powiedzieć — ciągle latają balonami, z których sypią „oko” do nadobnych Torunianek — reszta zaś to tajemnica wojskowa, której zdradzić nie mogę. No i przygotowujemy akademię na rocznicę powstania styczniowego dla całego Bataljonu Balonowego, o której napiszemy w następnym numerze „Podchorążego”.

Dodać należy, że otrzymaliśmy normalny ekwipunek wojskowy, a więc i mundurki, i najlepsze przyjaciółki „kabełki” i chlebak, które jak sama nazwa wskazuje służą do noszenia granatów; mamy też i tornistry, w których znajdują się bielżniane spadochrony. A co najważniejsze — długie włosy, któremi świat zadziwiamy.

Kończąc te zdania, zwracam się z prośbą do wszystkich łaskawych Czytelników, aby zbytnio „balonowego-literata” nie skrytykowali, gdyż przebywanie całymi godzinami na wysokości, jakiej prof. Picard w swej gondoli nigdy nie

osiągnął, a ciągle obcowanie z ciałami niebieskimi odzwyczajają od konkretnego, ziemskiego myślenia, tudzież pisanie.

Toruń

Szer. z cenz. Z. Unger

„SERCE NA UWIEZI”

(czyli migawki z życia Szkoły Pchr. dla Podof. w Bydgoszczy)

W iście amerykańskim tempie, powstała i rozrosła się sekcja szybowcowa naszej Szkoły. Różne były głosy za i przeciw, jednym podobala się nowość, inni wróżyli rychłe fiasco poczynaniom tak śmiałym. Bo skąd nagle my piechociarze, artylerzyści czy kawalerzyści mieliśmy przeksztalić się w lotników? — „Przecież to można nogi, ręce połamać.. upaść na głowę! — zabić się nawet!...”

„O tak, — tego wszystkiego można dokonać, — tego rodzaju możliwości istnieją przecież od... — początku świata” — dowodził jakiś entuzjasta!

A jednak stało się — opuścili już Szkołę pokaźne zastępy młodych, całych i zdrowych oficerów broni a zarazem szybowników!!

My obecnie najstarsi podchorążowie w Szkole, jesteśmy na dobrej drodze do zdobycia tytułu pilota szybowcowego kat. B.

A jak to było z pierwszymi krokami zmierzającymi do zdobycia kat. A., to zaiste temat godny pióra, — ale chyba nie takiego, które mnie nie, jest przeznaczone!

Działo się to w sławetnym Fordonie a ściślej mówiąc w maj. Miedzyń, który chlubi się sąsiedztwem pokaźnych zboczy doliny Wisły, nadających się do „lotów”.

Był poranek wiosenny szmerzący nieśmiałym deszczykiem gdy auto ciężarowe objuczone kandydatami na szybowników — utknęło pod wzgórzem. Nieco w oddaleniu widniało locum naszego kursu, otoczone bogactwem zieleni. Oby prędzej, — szybciej zrzuć nieodzowny rynsztunek, — biec na szybowisko! — niewczesne zapędy słusznie poskramiała czuwająca władza.

Nareszcie rozpoczęła się nauka „szurania”, początkowo nieszkodliwa i wiele obiecująca. Lecz wkrótce, spokojne i niewinnie wyglądające rumaki powietrza rozprzeździły swoje władztwo! Tu i owdzie co śmielsi poczęli się odrywać od ziemi. „Miłe złego początku, lecz koniec”.. dopiero miał się stać miłym! — W tem coś trzasło — „oje!” — jest cały! — odetchnęliśmy z ulgą, — chwilową ciszę przerwał głos: — „do ch...y, — co podchorąży robi?!” — skrzynka zgnieciona, — będzcie podchorąży płacili! — To prezes sekcji jak duch opiekuńczy dogląda wychowanków i martwi się o całość „ptaków”.

Raz poraz, któryś z nieszczęsnych szybowców, smętny, mniej lub więcej pokancerowany sunął do hangaru na leczenie. Różnie się odbywały loty ku przestworzom. Pewnego niezbyt pięknego południa, wykazaliśmy zdolności przetwórcze tak duże, że wszystkie czynnie biorące udział w naszych nieopatrznych poczynaniach szybowce, gwałtownie poczęły się domagać gruntownej kuracji. Materja jest jednak niezniszczalna, tak głosi prawo przyrody, więc po krótkiej przerwie zabraliśmy się znów do dzieła:

Już dawało się że jest zupełnie dobrze, że pochłonięliśmy do dna arkany wiedzy tajemnej eteru, gdy stało się coś, co zmieniło błogi nastrój swowoli.

A wszystkiemu winen zbyt swowolny i porywisty zefirek: — tylko dmuchał... i biedna szlachetna „Wrono” — żegnaj! Oto przed oczyma klasyczna „kraksa” na plecy, — z szybowca drzazgi: — delikwent cały! — „A krzycałem” oddaj — oddaj” — dowodził z oburzeniem instruktor!

Oj to niedobrze, — to naprawdę można się zabić!

I po onych tłustych w wyczyny dniach, nastaly chude

przyjemne, niskie i szare dni lęku. Ścisłe się wyrażając to nie dni, — lecz noce.

— Bo gdy świat przybrał szatę mroku, gdy nastał czas odpoczynku po trudzie dnia, ożywczy sen nie kleił powiek wrażliwym kandydatom sportu szybowcowego. Świat marzeń ogarnął nieszcześników. Myśli ich rozprzeździły się gdzieś w obłoki, by tam w dziwnym spokoju oddać się niesamowitym ewolucjom, wymaginowanej akrobatyki szybowcowej... Czego się tam nie wyczyniało: — wspaniałe władanie „knyplem” i „orczykiem”, — nabieranie wysokości, „lopingi”, „korkociągi” i znów wyżej i wyżej!... A nagle świadomość — gdzie ziemia?! — Tam wdole?! Taka mała?! Załomotało serce, — chce wyskoczyć, — nie, trwa na uwiezi!... Co robić?! — ktoś przez sen krzyknął nerwowo: „knypl od siebie — noga”!

Och to przecież takie proste, — jutro polecę z najwyższej góry... Czemuż ja jeszcze nie śpię? — łankę wypoczynku, snu, — snu...

Dziwna woń napełniła izbę dworku... To wiosna w całej swej świeżości i krasie, rozkwieconemi bzami, czyniła atmosferę upojną. — Już księżyc napełnił mrok ową bladą poświatą... — Ozwały się miłosne słowicze trele gdzieś z gęstwiny bzów. —

Dzień wstał rzeźki, rozperlony w słońcu, — świat kipiał radością życia...

Minął bezpowrotnie dziwny lęk dnia poprzedniego. Napełniła nas wszystkich dziwna pewność siebie, uświadomiona „odwaga! — Zdaliśmy egzamin! Ostatnie loty z dość pokaźnej „góreńki” napełniły duszę mą radością, że serce ostało się na uwiezi i że dokonał tego co początkowo wydawało się tak trudne.

Szkoła Pchor. dla Podof. w Bydgoszczy.

st. sierż. pchor. Marjan Rogulski.

HARCERZE W BATALJONIE SZKOLNYM  
PIECHOTY

Jedni z Kołomyi, drudzy z Jastarni, z Cieszyna Śląskiego, inni wreszcie hen, aż z za Wilna — wszyscy śpieszyli pod koniec września do Bataljonu Szkolnego Piechoty w Zambrowie, aby spełnić swój obywatelski obowiązek. W gronie kandydatów na strzelców z cenzusem na piersiach tego i owego błyszcząca skromna odznaka: krzyż harcerek. Skromny jest on, lecz jakże wymownym znakiem i jakże drogim dla harcerza! Co moment rozlegało się gromkie



Artylerzyści przy pracy



Zadania z taktyki nie są łatwe...

fol. Sobański

„Czuwaj!” i uśmiechali się do siebie harcerze, nieznajomi jeszcze, lecz zbratani już duchem idei harcerek.

Jeszcze w pierwszym dniu wszyscy stanowili już „wojsko”, ubrani w mundury żołnierskie. Zniknęły różnice, pozostała jeno... ostrzyżona „na kolano” głowa i szary mundur żołnierza polskiego. Zniknęły też krzyże harcerek z widowni, lecz harcerze się nie zagubili. Każdy nurkował w swej drużynie, potem w kompanji i szukał bratniej duszy, szukał innego harcerza. Aż wreszcie znaleźli się wszyscy na zebraniu sekcji harcerek w dniu 27.X b.r. Na zebranie to przybył również w charakterze kuratora p. por. Mike, który w krótkich żołnierskich słowach przedstawił cel i zadanie sekcji harcerek. Zadaniem jej ma być stworzenie wśród grona kolegów wojskowych takiego środowiska, w którym harcerze mogliby swobodnie pracować w myśl idei harcerek.

Na zebranie przybyła spora ilość harcerek, z których utworzyła się drużyna starszo-harcerek; drużynowym został najstarszy stopniem druh podharcemistrz Waligóra. Druhowie zastanawiali się przedewszystkiem nad planem pracy w ciągu pobytu w Bataljonie i okazało się, że pole do działania jest wielkie. Na pierwsze miejsce wysunęto wewnętrzny charakter pracy: pogłębienie swych wiadomości harcerek. Następnie jako ważny punkt planu umieszczono pracę nazewnątrż, w czem mieści się praca w drużynach harcerek, jakie znajdują się na terenie Zambrowa. Dookoła stołów w Świetlicy zasiadali harcerze, reprezentujący wszystkie chorągwie Związku Harcerstwa Polskiego, więc każdy do planu dorzucał swą cegiełkę. Rosły też zamierzenia i projekty, które drużynowy skrzętnie notował w grubym zeszytce. Naturalnie nie zapomnieliśmy też o imprezach, które w przyszłości drużyna ma zamiar zorganizować. Wogóle myśleliśmy o tem, aby społeczeństwu zambrowskiemu pozostawić jaknajmilsze o harcerek z Bataljonu wspomnienia. Zaznaczam, że narazie myśleliśmy o tem, a przyszłość dopiero pokaże, co zdziałają harcerze w Bataljonie Szkolnym Piechoty!

Kronikę nowopowstałej drużyny starszo-harcerek już rozpoczęliśmy. Mamy poza sobą jeden zbiorowy dobry uczynek. Pod Zambrowem znajdują się groby naprawdę nieznanych żołnierzy, którzy polegli w wojnie bolszewickiej. Groby te do niedawna były zupełnie zaniedbane; obecny swój wygląd, przypominający cmentarz, zawdzięczają kursowi podoficerskiemu, który je ogroził i ozdobił skromnym krzyżem.

Mijały właśnie dni, poświęcone zmarłym i każdy, kto ma bliską sobie osobę na cmentarzu, krzątał się koło mogiły, odświeżał ją i przygotowywał do dnia Wszystkich Świętych. W tym dniu zapaliły się świeczki na grobach, każdy poświęcał kilka chwil wspomnieniom swych najbliższych, spoczywających na miejscu poświęconem. O cichych bohaterach,



leżących w gołym polu, nikt nie pomyślał, bo groby ich świecili pustkami. Napewno ktoś opłakuje jeszcze dzisiaj stratę ojca, brata czy męża, który zginął na wojnie, lecz nikt nie wie, gdzie jego zwłoki spoczywają. Dlatego harcerze, pozostający przez święta w koszarach zambrowskich, pomyśleli o tych właśnie bohaterach i o zmroku wyruszyli małą garstką na zapomniany grób. W kieszeni znalazły się świeczki i zapalki, a w sercach płonąła chęć spełnienia dobrego uczynku. Nie powstrzymały nas kałuże błota i woda, która gwałtem wlewała się do trzewików, każdy rażno kroczył do celu i, po wielu emocjonujących na mokradłach przejściach, zapłonęło kilka świeczek na mogile 200 nieznanych bojowników, znajdujących się w pobliżu strzelnicy w Wądołkach.

Odkryte nasze głowy pochylili się ze złości ku bohaterom, którym zawdzięczamy to, że możemy swobodnie we własnym kraju się poruszać. Popłynęło w dal ciche wspomnienie; w chwilę później zaległo na cmentarzyku głębokie milczenie. Wiatr tylko poruszał wierzchołkami drzew i miotał na wszystkie strony migotliwym ogniem świeczek, a harcerze utonęli we wspomnieniach. Każdy z nas oddał cześć cichym bohaterom i zarazem pobiegł myślami w swe rodzinne strony, gdzie niejedynemu pozostał na cmentarzu drogą istotę. Zanuciliśmy też harcerskiego marsza żałobnego: „Poszedł w bój krwawy” i po chwili garstka nasza wracała dziarskim krokiem do koszar.

Wracaliśmy po spełnionym uczynku, który był bardzo skromny, lecz wywarł na nas ogromne wrażenie. Ponadto w sercach mieliśmy to przeświadczenie, że nie zmarnowaliśmy wieczoru i nie żałowaliśmy też tego, że nogi były przemoczone. Spełniliśmy dobry uczynek...

Strzel. z cenz. A. Wachowski.  
(Harcerz Rzplitej).

## GWIAZDKA W BYDGOSKIEJ PODCHORAŻÓWCE REZERWY

Pierwszy raz w armii obchodzili tradycyjną uroczystość gwiazdkową strzelcy z cenzusem stacjonowanego w Bydgoszczy Kursu Pehor. Rez. 15 Dywizji Piechoty.

Wigilja podchorążacka zorganizowana została w jadalni kursu staraniem Kasy Brackiej. Obchód rozpoczęło przemówienie dowódcy 62 p.p. ppłk. dypl. Powierzy, który złożył wszystkim gratulacje pomyślności w Nowym Roku. W przemówieniu swoim p. płk. Powierza szczególnie zaakcentował momenty braterskiego koleżeństwa, które poprzez współdziałanie i karność prowadzi do zwycięstwa. Kolejno p. płk. łamał się opłatkami z dowódcą bataljonu szkolnego p. mjr. Kiełczewskim, komendantem kursu p. kpt. Batoszewiczem, kor-



Opowiadanie kawałów

pusem oficerskim i podoficerskim, poczem składał życzenia reprezentantom drużyn. Imieniem uczniów kursu przemówił w krótkich słowach strz. z cenz. Radowski przyrzekając pójść nieśmiertelną drogą wskazaną przez Wielkiego Marszałka i Wodza Narodu.

Na zakończenie chór pod kierownictwem strz. z cenz. Szatkowskiego odśpiewał kilka kolend. Całość wigilji miała bardzo nastrojowy i rzewny przebieg.

strz. z cenz. B. Nuszkowski

## GŁOS Z „CYTADELI” (TA JOJI)

Lwów milczy — czemu? — czemu „podchorążówka” ulokowana w centrum jednego z najruchliwszych i powiem najżywoźniejszych miast w Polsce — nie daje o sobie prawie znaku życia na łamach prasy?

Takie pytanie nasuwa się z pewnością „niejednemu” znającemu czynność i żywotność naszego środowiska.

Otóż słów kilka o tem.

Rozpoczęliśmy Kurs bez „uroczystego” otwarcia nie mieliśmy żadnego „pogrzebu rekruta” (byliśmy od początku strzelcami z cenz.). Przysięga odbyła się u nas również prosto, a zakończona została poważnie — postanowieniem dochowania jej wierności („nie sutym obiadem lub zabawą”).

Dnie były jesienne, szare i podobne, jak nasza praca. Proszę nie myśleć jednak, że całokształt naszego życia był taki. „Humoru nigdy nam nie brakło”. Nawet czasem obawialiśmy się, by ściana „baraków” nie wysadził w powietrze dynamit szczerzego, młodego, perlistego śmiechu. Bogu dzięki jakoś wytrzymały, tylko się chyba szpary porobiły, bo chłodniej spać.



Na strzelnicy

fol. Sadowski

Praca wre. „Młode pióra” wykazują swoje talenty w „Gazecie ścienniej”, kreśląc końcem bagnetu obrazki z życia.

Ocena naszej roboty wydana przez wizytatora „podchorążówek” p. płk. Skokowskiego napełniła serca nasze radością i dumą.

Drugim sprawdzianem naszej pracy były repetycje, których wynik rozradował serca nasze przed urlopem. Trzymiesięczna praca została uwieńczona zasłużoną, wspólną kolacją.

Gośćkowa bieżanina... „cybulenie” się w nowe mundury niebywała rzecz (!?). „Mieczku”! ta ty bracie wiesz, że nam dziś szykują fajną bibę”. Ta co ty Jóźku zdurniał — nu, ta już ja dziękuję, nu, nu, a niezbędny też brać na tę bibę? Nu ta ja teraz myślę, że ty Mieczku zdurniał przysięgam Bogu! Ta joj, to oni coś na serjo przygotowują”. Koniec końcem jesteśmy w sali kasyna zastawionej nakrytymi stolami Zerkamy zukosa na stojące butelki i dymiące półmiski. Apetyty zaostrzają się jak brzytwy. Początkowo bractwo czuło się dość sztywne, ale pod wpływem koleżeńskiego ciepła znikła sztywność, a zaczął tryskać zdrowy żołnierski humor. Nagle: „Cisza”! Bacność!!! Do sali wszedł p. płk. Dziurzyński. Jego zastępca p. ppłk. Lépiarz i p

mjr. Zachodny. Uroczysta kolacja rozpoczęła się przemówieniem kom. II-go Kursu p. kpt. Horaka. Słowa proste, żołnierskie — jednak tak ważne i pełne treści, że wrastały głęboko w nasze mózgi i serca.

My ze swej strony oświadczyliśmy przez usta jednego z kolegów, że „Ponieważ nie mieliśmy zaszczytu brać udziału w walce o wolność Ojczyzny naszej, musimy poświęcić wszystkie swe siły, by walczyć o Polskę szczerą i rzetelną pracę w czasie spokoju”.

Następnie przemówił p. ppłk. Lépiarz podkreślając silnie koleżeństwo, jako jedną z najważniejszych cech żołnierza. Tymczasem na stole pojawiła się ryba w sosie, barszcz z uszkami i t. p. przysmaki. Zaczęły „pękać” butelki — popłynęły toasty, orkiestra grała ohecho. Aczkolwiek brak było płci pięknej — bractwo rozbawiło się szczerze. Wśród wrzawy i śmiechu „lecieli” pod sufit przełożeni, robiąc w powietrzu nogami „dziwne esy floresy”.

Wszystko się na sali radowało, nawet marmurowa twarz Marszałka zdawała się rozjaśniać. Marmurowe oczy wpatrzone w nas z dziwną uporczywością widocznie dostrzegły „prostotę” naszych „żołnierskich dusz”, bo nabrały jakiegoś niesamowitego blasku. To było dla nas największą nagrodą za dotychczasową pracę.

strz. z cenz. S. Górski

## KIELECKIE LISTY

(Myśli „filozoficzne” zamiast wstępu...  
Zapiski kronikarskie... Cywile mają głos...

Było to jeszcze ongiś, wojsko znałem litylko z daleka. Niezwykłe mi się podobały wielkie defilady, parady i inne



Po capstrzyku

fol. Kotański

uroczystości wojskowe. Wspaniale wygląda postać wojska, gdy ono w całej swej przepięknej okazałości i żołnierskim blasku prezentuje się społeczeństwu.

Za tym jednakże uroczystościowym parawanem na pokaz kryje się na nieprzeciętną miarę zakrojona praca i trudy poszczególnych kadr. I tego to właśnie nigdy „cywile” nie mogą pojąć swym odmiennym — jeżeli tak wolno powiedzieć — sposobem myślenia. Nie zdają sobie i zdać nie mogą sprawy z tego oczywistego dla żołnierza faktu — że wojsko — to odrębna, swoista kasta — tak wyłączna, jak żaden inny zawód człowieka. Wyłączność tę rozumiem jako bezwzględną konieczność podporządkowania wszystkich władz ciała i ducha — służbie pod egidą Marsa, w której znane powiedzenie Piłsudskiego znajduje najpełniejszy wyraz. Wojsko — to apoteoza pracy.

Kielce — to różnobarwne pracowite życie naszych cenzusowców. Nie mówię, że jest ono już takim, by nie wykazać zbiorowej zarozumiałości, ale — że takim być musi. Pozatem — może ta tłumowa autosugestia umawiania sobie ideałów pomoże nam wspiąć się na jeszcze wyższy poziom doskonałości.

Dopiero otrzymaliśmy broń z rąk dowódcy pułku, a już błyskawicznie minął okres rekrucki i nadszedł pamiętny dla nas dzień przysięgi.



Apel butów

1 grudnia 1935 r. Na placu koszarowym — prężą się zwarte szeregi Kompanji Podchorążych przy 4 p. p. leg. Przed frontem przebiega konno dowódca p. kpt. K. Korzeniowski.

Sprowadzenie pocztów sztandarowych, raport — przy wtórce orkiestry, co nieczęsto nam się zdarza, ostatnie przygotowania i wymarsz do kościoła Garnizonowego.

Głęboko utkwily mi w pamięci te różnostronne wrażenia, jakich doznaliśmy w tym tak istotnie ważnym dniu. Pomijam już fakt, że wtedy otrzymaliśmy pierwszy awans żołnierski.

Tak się złożyło, że tego właśnie dnia mogłem zupełnie obojętnie pełnić ciężkie, o ile chodzi o krytykowanie własnych poczynań, zadanie recenzenta. Przybywszy w przeddzień „Święta Podchorążego”, nie byłem wcale w taki czy inny sposób nastawiony wobec uroczystości, którą Podchorążówka Kielecka w dniu swej przysięgi zgotowała społeczeństwu miejscowemu.

Nowozbudowany gmach P. W. i W. F., centrum i widomy ośrodek duchowej i fizycznej tężyzny województwa kieleckiego. Tam to odbyła się akademja czy wieczornica okolicznościowa miejscowych podchorążych. Ogólne wrażenie pierwszorzędnego. Szczery entuzjazm publiczności. Jednym słowem — całość godna żołnierza. Opłaciły się z sutym nakładem paratygodniowe wysiłki przygotowawcze. Dowódca kursu p. kpt. Korzeniowski nie żałował zapewne długich wieczorów, jakie spędził za kulisami teatru, kierując pracami.

O wysokiej wartości naszej „Wieczornicy” świadczą najlepiej entuzjastyczne recenzje zamieszczone w tutejszej prasie codziennej, która wyraziła podchorążym „szczerze uznanie i serdeczne podziękowanie”.

Kielce.

Z. Ł.

## DZIEJE JEDNEGO TYGODNIA

Ostatni tydzień listopada był na kursie siedleckim okresem niezwykłym. Okazało się, że chronometrycznie ułożony dzień zajęć i systematyka codziennej pracy nawet w wojsku może na parę dni, mówiąc popularnie, wziąć w łeb. W poniedziałek na ćwiczeniach garnizonowych nie tego jeszcze nie zapowiadało. Łykaliśmy kilometry dziesiątkami, ugnialiśmy się po polach, nekając n-pla niespodziewanym ogniem, jednym słowem odrabialiśmy repertuar ćwiczeń na większą skalę. Ale już we wtorek rano strzelanie odbywało się nie w normalnej kolejności, bo artyści i inna hołota”



zostali zwolnieni przez dowódcę kursu o godz. 9-ej i do tego czasu musieli wykazać swe zdolności w manipulowaniu r. k. m. i c. k. m. A we środę na wyszkoleniu bojowym z resztek plutonów ledwo można było dwie drużyny skleić. Artyści robili ostatnie gorączkowe próby, zaś pojedynczy strzelcy z cenzusem, z przepustkami lub w ostateczności paskiem pod brodą, uganiai się po mieście, załatwiając setki spraw, które wyłoniły się w ostatniej chwili. Oficerowie i instruktorzy patrzeli ze zgrozą na rozwydrzenie swoich ananasów, słusznie przewidując, że trzeba będzie zdwojonej porcji o. p. r. i innej luźnej musztry, żeby bractwo ujął z powrotem w karby. Ich groźne i niezadowolone miny pierchły jednak, gdy się przekonali, że przez ten króciutki okres markierowania, „odwaliliśmy” w innej dziedzinie rzetelną robotę, która przyniosła pełny sukces.

Chociaż na kursie siedleckim jest nas tylko 80, a wolny czas mamy... przeważnie tylko w nocy, ambicją naszą było godnie uczcić koniec okresu rekruckiego i przysięgę. Przygotowaliśmy dwie imprezy: na tradycyjny pogrzeb rekruta — rewję, na dzień 29 listopada — akademię.

Na powstanie naszej rewji, nawiasem mówiąc, mimo wolny wpływ wywarła odprawa korespondentów „Podchorążego”, gdyż delegat siedlecki, nudząc się piekielnie w pociągu, spłodził wtedy pierwsze kilka tekstów. A że najtrudniejszy zawsze jest początek (w takich sprawach jeszcze bardziej niż w miłości, o której mówi popularne tango) wszystko poszło dalej piorunem i w sumie zrodziło się 12 numerów, pióła trzech autorów, strz. z cenz. Epsteina, Felmana i Krasuckiego. Staraliśmy się w nich pokazać etapami, co przeżył w wojsku rekrut Cywilewicz od chwili przybycia aż do swej śmierci-metamorfozy. Nad jego trumną zaś odmówiliśmy długą litanję z refrenem: „zachowaj nas kapitanie panie”. A było od czego zachowywać ze trzydzieści wierszy. Dostało się po drodze i szarży, ale nie za dużo, bo to od żartów rewjowych do dyscypliny wojskowej droga krucha i śliska...

Przedstawienie zaszczylił swą obecnością zast. d-cy pułku p. ppłk. dypl. Michalski, dea baonu p. mjr. Jana, dea kursu p. kpt. Mazurkiewicz oraz oficerowie i podoficerowie całego garnizonu, zaś braci żołnierskiej przybyła taka gromada, że po sprzedaniu prawie 500 biletów musieliśmy kasę zamknąć przed nosem jeszcze z setki zawiedzionych. Rewja — jak stwierdził potem Dowódca Kursu — podobała się ogólnie, zresztą roześmiane twarze p.p. oficerów, a od czasu do czasu grzmot śmiechu z całej sali, były nam najlepszą nagrodą.

— o —

Potem wesołym preludjum nastąpił dzień przygotowań, a za nim dzień 29 listopada, dzień poważny i uroczysty, dzień przysięgi. Na polach Igań, przy pomniku poległych w pamiętnych bojach powstania listopadowego, ślubowaliśmy wierność Rzeczypospolitej, Panu Prezydentowi i sztandarom wojskowym, stając się w ten sposób żołnierzami w pełnym tego słowa znaczeniu. W tej, tak doniosłej dla nas chwili, przemówił do nas dowódca pułku p. ppłk. Jędrzychowski, przypominając nam nasze zadania i obowiązki i wzywając do uczczenia pamięci Wodza i Twórcy Armji — Marszałka Piłsudskiego.

Po defiladzie odbył się w Domu Żołnierza wspólny obiad, symboliczna uroczystość, wiążąca razem nas, naszych przelożonych i naszych rodziców. P. ppłk. Jędrzychowski wznosił toast przedewszystkiem na cześć Pana Prezydenta i Gen. Insp. S. Z. gen. Rydza-Śmigłego, a potem na cześć przyszłych podchorążych, zaś przyszli podchorążowie z entuzjazmem akklamowali swoich przelożonych.

Wieczorem wszyscy biorący udział w obiedzie, a także wiele osób spośród ludności cywilnej Siedlee, spotkali się

na akademii listopadowej. Na scenie ustrojonej w sztandary, widniało w środku popiersie Marszałka i myśli zebranych przebiegały śladem historii, śladem tych 88 lat, które dzieliły poryw bohaterski a niewykorzystany listopada 1830 od o tyle radośniejszego listopada 1918. Na akademję złożyło się słowo wstępne strz. z cenz. Smoleńskiego, dające właśnie rzut oka na te „dwa listopady”, koncert orkiestry pułkowej, występy naszego chóru oraz za serce chwytająca deklamacja cudownego wiersza Zypowskiego „Ostatni Rozkaz” w świetnym wykonaniu strz. z cenz. Pyrki.

Taki to był tydzień wrażeń różnorodnych i niecodziennych. Zakończyła go serja przepustek do 11 w nocy, ale już następnego dnia wszystko wróciło do normy i nowokreowani strzelcy z cenzusem ze zdwojoną energją wzięli się do wyszkolenia bojowego.

Strzel. z cenz. M. Epstein

K. P. R. 9 dyw. piech.

### WYJĄTKI Z REWJI „POGRZEB REKRUTA”

odegranej w Siedlcach 21 listopada

Wyciątek z żalów rekruta — miłośnika Słowackiego

Smutno mi Boże! Codzień po wieczery  
Muszę do glansu szorować buciska,  
Bo po apelu pan sierżant obejrzy  
Podeszew zbliska  
Że szcotka błota wydtubać nie może  
Smutno mi Boże!

Kazano tu mi, ażebym był gotów  
Sprzątać co trzy dni rejon, a ja przecie  
Choć się spracuję do siódmego potu  
Zostaną śmiecie.

Że mi tu dyplom na nic nie pomoże  
Smutno mi Boże!

O zbyt sumiennym kapralu

Każdy z nas od miesiąca już się nad tem biedzi,  
Dlaczego obcy kapral ciągle u nas siedzi,  
Szuka, bada, zagląda a potem się skarży  
Naszemu sierżantowi, no i wyższej szarży.

Wreszcie doszliśmy:

Postawił on sobie to zadanie wielkie,  
By z pyłu i ze słomek skleić... trzecią belkę.

Pierwsze wykłady

W koszarach także życie wiele uroku ma,  
Nawet kiedy to szarża wiedzę nam w głowę pcha.  
Gdy są wykłady  
To niema rady,  
Połowa zawsze chrapie z nas,  
Bo i przyjemnie  
Gdy człek się zdrzemnie  
I zda się szybciej mija czas.

Nad trumną rekruta

Umarł rekrut, umarł i leży na desce,  
Krzyknijcie „pobudka” — poruszy się jeszcze,  
Bo w rekrucie taka dusza,  
Że „na baczność” też się rusza, oj dana, dana, dana itd.  
Umarł rekrut, umarł, grób go wnet zakryje,  
Na tamtym już świecie menażek nie myje,  
Więc się cieszymy z tego szecerze,  
Że choć dostał tam talerze, oj dana, dana, dana itd.

(PS. Talerze zjawiły się dzień po przysiędze).

Retren piosenki półfinałowej

Bo to w naszym polskim wojsku dobrze jest,  
Byle tylko strzelać celnie, ćwiczyć fest,  
Jeść ci dadzą, mundur dadzą, forę też,  
Śpiewasz jeno po dniach całych, no i jesz.

## BERLIN A LA MINUTE

(Korespondencja własna „Podchorążego”)

BERLIN, w grudniu.

Zbąszyniu, pardon — *Neu Bentschen*. Pozbywamy się świni i gęsi. Hurra!

### WARSZAWA — ZBĄSZYŃ — NEU BENTSCHEN.

Na peronie dworca Głównego powitał nas dziki i przeraźliwy wrzask; tysiące wysokich i zdenerwowanych głosów darły się przeraźliwie. — „U licha, co się też tu dzieje?...” Tajemnica wkrótce się wyjaśnia. Jest zresztą tak prozaiczna, że aż przykra. Poprostu do pociągu, którym miałem jechać (z przesiadaniem) do Berlina doczepiono szereg wagonów bydłowych, wypełnionych białą pianą żywych gęsi. Podeskcytowane ptaki wyrażały głośno swą niechęć do dalekiej podróży. Być może, że nie uśmiechał się im koniec w blaszanej puszcze z pasztetem z gęsich wątróbek Zrozumiałe. Natomiast świnię, załadowaną do trzech wagonów, nie straciły dobrej miny i filozoficznego spokoju. Leżały cichutko, spokojnie, przytulone czule jedna do drugiej. Ich pełne godności zachowanie odbijało dodatnio od awantur zwarzjowanych gęsi.

O świcie jesteśmy w Poznaniu. Przesiadamy się. Potem jedziemy dalej. Na zachód.

W miarę zbliżania się granicy pasażerowie zdadzają zainteresowanie krajobrazem. Śmieszna chęć utrwalenia w pamięci rodzimego pejzażu i skonfrontowania go z nowym, obcym, po drugiej stronie słupów granicznych. Tak jak gdyby coś się istotnie różniło. Widoki są monotonne i raczej nieciekawe. Szare pola, zielone plamy lasów. Nawet jaskrawo ceglaste domy przygasiły w mglistym powietrzu.

Zbąszyn. Granica. Przegląd paszportów i szklanka gorącej herbaty, przyrządzonej dość podłe, po poznaniu. Trzeba dać do oplombowania aparat fotograficzny. Umundurowani na zielono celnicy usłużni i grzeczni. Ich sympatyczne fizjognomie zmieniają się dopiero w drodze powrotnej. Wtedy będą naszymi osobistymi wrogami, wężącymi w walizie nowy neser. a w kieszeni szwarcowaną zapalniczkę, dwa wieczne pióra i cztery pary damskich pończoch... Chwilowo jednak możemy z nimi rozmawiać spokojnie i po przyjacielsku.

Granica jest tuż pod bokiem. Mijamy ją powoli i już jesteśmy w Niemczech. Pociąg zatrzymuje się w Nowym



Młodzi nordyjscy patrzą w przyszłość.



Szeregi Hitlerjugend.





„Żydzisz są dżumą ludzkości” — głosi bojowy dziennik „der Stürmer”.

Pociąg wtacza się na znakomicie urządzone, nowoczesny dworzec w samym niemal sercu Berlina. Jeszcze chwila i stoimy na *Alexanderplatz*’u.

Jest wieczór. Chłodna, nieco wilgotne powietrze przesyca mgłą i tuman dymu, leżącego nisko nad dachami miasta. *Alexanderplatz* jarzy się cały od ostrych świateł neonów, wspinających się po ścianach domów, rysujących fantazyjne, różnobarwne arabeski reklam.

Uliczne latarnie sieją jasny rozproszony blask. Bloki olbrzymich domów są długimi pasmami oświetlonych okien, pociętych poziomo i pionowo czarnymi kresami. Ulewa, popiół, fontanna światła. Mrok wieczoru zwyciężony.

Po chodnikach snują się tłumy ludzi. Na plac napływa wielkowiejska fala ruchu, rozlewa się odnogami ulic, znów się wznaga, zatrzymuje na chwilę i płynie dalej.

Wielkie, dwupiętrowe autobusy perłowo-żółtego koloru snują się jeden za drugim. Długie szeregi samochodów. Mnóstwo małych sportowych wozów, o smukłych aerodynamicznych kształtach. Taksówki są ciemno-zielone. Wszystko krąży sprawnie i cicho. Sygnałów nie wolno nadużywać. Mieszkańcy Berlina chcą mieć spokój.

Podziwiam karność kierowców. Światła sygnalizacyjne zapalają się i gasną, regulując idealnie ruch pojazdów. Wszystko odbywa się bez żadnego zamieszania.

Ci ludzie mają karność i dyscyplinę we krwi.

Herbem Berlina — wymalowanym na autobusach i tramwajach — jest niedźwiędź. Mrukiwie zwierzę nie zachowuje jednak przyrodzonej mu pozycji. Oto stoi ono na dwóch łapach, jakgdyby w niezgrabnym, iście „niedźwiędzim” tańcu.

Co mogło zmusić herbowego niedźwiędzia do naśladowania obyczajów władców świata?

U nas istniała ongiś słynna Akademia Smorgońska, gdzie pocziwie misie kształcono w przeróżnych sztukach. Berlińskiego niedźwiędzia posądzam jednak o to, że paraduje w tej tak dla niego mało wygodnej pozycji

jedynie na rozkaz. Rozkaz zgóry. Ktoś, komu przyszła fantazja by mś zmienić swe odwieczne obyczaje i narowy, mógł stwierdzić znakomity wpływ dyscypliny. Berliński niedźwiędź nigdy się napewno nie zechce buntować. Nie opuści się naturalnie na cztery łapy i nie ryknie w pełni poczucia rozkosznej swobody. Będzie zawsze kroczył sztywny i skrzepowany. Chyba, że pewnego dnia dostanie inny rozkaz. W takim wypadku gotów jest nawet stać przez całe życie nieruchomo na głowie... Chwilowo widzimy na każdym kroku jego czarną, wymuszowaną sylwetę, jak macha bezradnie przednimi łapami w powietrzu.

### Polu Negri, Kiepora i „obiad w jednym garnku”

Miałem nieszczęście umówić się ze znajomymi w sobotę wieczorem na rogu *Unter den Linden* i — jak ją nazywają berlińscy Polacy — „Frydrychówki”. Nie zorientowałem się przedtem, że był to dzień masowej zbiórki na „pomoc zimową”, t. zw. *winterhilfe*. Odbywało się to bardzo prosto a zarazem pomysłowo. Na ulicę wyszli z puszkami w rękę najwybitniejsi dygnitarze rządowi i partyjni, kwestujący razem z artystami i gwiazdami filmowymi.



Defilada Reichswery przed grobem Nieznanego Żołnierza.

Na rogu działy się sceny nie do opisania. Tysiące ludzi tłoczyło się, rozpychało i walczyło zatarcie aby dotrzeć jak najbliżej do kwestarza, a już zwłaszcza — kwestarki. Dostawszy się w wir ludzi dałem mu się bezwolnie ponieść. W nagrodę za oderwaną kieszeń i obtłuczone boki znalazłem się twarzą w twarz z jakąś uroczą artystką filmową. Biedaczka była napół żywa ze zmęczenia, z przejęcia i obawy przed kawkami wielbicielemi. Gdyby nie pomoc czterech ogromnych *S. S.*-owców poświęcenie ofiarnej gwiazdy, którą bodajże była *Lilian Harvey* mogłoby się przykro skończyć.

Rozbawiony i hałaśliwy tłum zwracał mniejszą uwagę na zażywnego dygnitarza *S. A.*, który energicznie wymachiwał trzymanymi w rękę fotosami. Miła niespodzianka okazuje się, że pan w brązowym mundurze hałaśliwie zachwala zdjęcia z autografami „najpiękniejszego głosu świata” i „największej gwiazdy świata”. Patrząc: *Kiepora* i *Polu Negri*. O narodowości artystów nie było — rzecz jasna — mowy. W każdym razie przyjemnie jest spotkać sławnych rodaków. Choćby na fotografii.

Doskonale zorganizowana akcja społeczna przypominała o sobie i następnego dnia. Była to pierwsza niedziela miesiąca, a więc dzień w którym każdy Niemiec może zjeść na

obiad tylko jedną potrawę, a właściwie to, co się da przyrządzić w jednym garnku.

W restauracji dostaliśmy ogromny talerz kartoflanki z pływającym w niej kawałem gotowanego mięsa. Był to cały obiad, za który zapłaciliśmy normalną cenę. Powstała w ten sposób różnica idzie na akcję pomocy dla biednych. Z tego źródła — jak słyszałem — wpływają bardzo poważne sumy.

Sądze że nawet żarłocy i smakosze nie szemrzą w tych warunkach na „jeden garnek”. Zresztą nikt nie broni zjedzenia chociażby pięciu obiadów.

### Vaterland pana Kempinski’ego

Trzecia Rzesza nie życzy sobie aby jej stolica cieszyła się dość dwuznaczną reputacją w dziedzinie „rozrywkowej”. Wszelkie formy „niemoralności” tępią się w Berlinie zawięciem. Znawcy miasta twierdzą, że reformatorzy odnieśli na tem polu poważne sukcesy. Przynajmniej zewnętrznie. Mnóstwo lokalów zamknięto, względnie zmieniono ich nadto frywolny charakter. Poskromiono podkasaną muzę, każąc jej założyć długą do kostek spódnicę i spleść w germański kok



Przed grobem Nieznanego Żołnierza

fol. Smoleński

nordycznie utlenione włosy. Kobieta niemiecka przystosowuje się ze smutkiem do ostatniej mody, każącej jej być... niemodną. Nieliczne wyłamują się spod zakazów, malują i stroją. Naturalnie te odważne ryzykantki cieszą się największym powodzeniem.

Jednym ze starszych i bardziej znanych lokalów berlińskich jest „*Vaterland*”, własność p. *Kempinski*’ego. Poszedłem tam pełen ciekawości, chcąc zobaczyć Nowe Niemcy przy zabawie. Zdziwiła mnie trochę nazwa lokalu (zwłaszcza w zestawieniu z nazwiskiem właściciela), ale — co kraj to obyczaj. Nie warto się kłócić o słowa.

Oplaciwszy markę za wstęp można się włóczyć po salach chińskich i włoskich, amerykańskich, japońskich i t. d. Przy odrobinie fantazji i zamroczenia pod wpływem rzeczywiste taniego wina można sobie nawet wyobrazić, że się znajduje w hiszpańskiej tawernie czy japońskiej herbarciarni.

Najwięcej ludzi siedzi i tańczy w wielkiej sali „żeńskiej”, urządzonej w niemieckim stylu ludowym. Sensację budzi „żywa panorama”, gdzie *Ren* faluje i pieni się, niebo płacze ruchomymi strugami deszczu i uśmiecha się żywymi barwami tęczy. Podczas burzy wałą pioruny, aż się podskakuje na

krzeselku. Ta dziecinna zabawka podoba się ogromnie zebranym. Nastrój na sali jest huczny. Niemcy bawią się prosto i rubasznie. Uderzyło mnie, że ani jeden z siedzących przy stolikach umundurowanych ludzi nie tańczył. Czyżby istniał odpowiedni zakaz?

Opuszczając „*Vaterland*” dowiaduję się ciekawego w swej wymowie szczegółu *P. Kempinski* ma być... Żydem. Trzeba przyznać, że jest to dość pikantne.

### S. A. maszeruje.

Na jednym z placów przy końcu *Unter den Linden*, u stóp wspaniałego Muzeum Pergamońskiego, otwarto kiermasz gwiazdkowy. W lunie reflektorów uśmiecha się zachęcająco szczerobliwy św. *Mikołaj*, zapraszając do obejrzenia wesołego miasteczka bud i kramów. Fronton Muzeum przystrojony olbrzymimi flagami hitlerowskimi. Czarne swastyki obwijają się drapieżnie wokół spokojnych, klasycznych kolumn.

Wybieramy się tam wieczorem. Na *Unter den Linden* niespodziewana przeszkoda. Szereg granatowych policjantów tworzy kordon, nie przepuszczając nikogo. Za nimi widać w mroku długie kolumny brązowych *S. A. Man*’ów.

Wdajemy się w pertraktację z wyższym oficerem policji. Tłumaczymy mu, że cudzoziemcy, że Polacy, że prasa. Nasze perswazyje odnoszą niespodziewany skutek. Kordon rozstepuje się i maszerujemy w eskorcie brunatnego dygnitarza *S. A.*, tuż nieomal przed sam grób Nieznanego Żołnierza.

Jesteśmy świadkami niecodziennej uroczystości. Po długim oczekiwaniu zjawia się bowiem „*Chefs des Stabes*” *S. A.* — *Wiktor Lutze*, następca „zlikwidowanego” *Röhma*.

*S. A.* (*Sturm Abteilungen*) jest organizacją potężną, liczącą za czasów *Röhma* do 3 milionów członków. Kancelarz *Hitler*, któremu *S. A.* wprost podlega, nosi tytuł „*Oberster S. A. Führer*”. Kieruje nią jednak właściwie szef sztabu, którym został po *Röhmi* *Lutze*.

Widzimy go, jak przechodzi przed frontem zmarłych w bezruchu oddziałów, lustrując je twardym spojrzeniem. Potem kroczy z prostym wieńcem, który składa na grobie Nieznanego Żołnierza.

Tłumy ludzi stoją w głuchym milczeniu. Nowe Niemcy składają hołd przeszłości...

[Pchor. *St. Smoleński*



Nad Berlin rozpościera się cień żołnierza. Z prawej strony widoczny gmach opery, przed którym dokonano palenia książek.

fol. Smoleński



## SYLWESTROWA FANTAZJA

Podchorąży Stasiek Mogiła wszedł z grobową miną na naszą salę.

— Wszystko przypadło! — ogłosił tonem puszczyka.

— Ile? — zapytaliśmy z ciekawości.

— 7 dni!

Chcąc wyrazić współczucie, uczciliśmy tę wiadomość trzyminutowym milczeniem.

— Zgubią cię kiedyś kobiety! — stwierdził kategorycznie Barnaba.

— Nie chodzi o kobiety, tylko o zasadę — mruknął Mogiła i machnął z rezygnacją ręką.

— Właśnie w imię tej zasady posiedzisz sobie całe Święta.

— Tak, tak... — wtrąciłem się do rozmowy — ale honor plutonu został uratowany.

— Opowiedz lepiej, jak tam było — zaproponował Barnaba.

— No cóż — zaczął ponuro Stasiek — ciskał się, pieklił, rzucał. „Podchorąży nie zna regulaminu... — grzmiał — podchorąży nie ma pojęcia o obowiązkach wartownika... podchorąży przekroczył kompetencje...” Potem się trochę uspokoił. „Przynajmniej podchorąży wie, kto jest ta kobieta?” — pyta. Tak jest, panie pułkowniku, wiem! — odpowiadam. „I do kogo szła?” Też wiem, panie pułkowniku. „Nazwisko... nazwisko! tego lotra!” — ryczy, a ja milczę, jak zakłęty. „Co, podchorąży o głuch, czy odpowiadać nie chce?” — huczy dalej. Panie pułkowniku — melduję posłusznie — nie mogę zdradzić kolegi. Kiedy mu to powiedziałem, zastanowił się przez chwilę, a potem znów się rozłożył. „Ja was, psia krew, odzwyczaję od tych odwiedzin na terenie Szkoły, — zaczął wygrażać — ja was nauczę subordynacji... całą Szkołę zamknę, psia krew, na Święta!” Milczał z pięć minut i sapnął, a mnie się nogi trzęsły ze strachu. Wreszcie, już zupełnie innym tonem pyta: „Więc podchorąży twierdzi, że zna tę kobietę?” Tak jest — powiadam — znam.

„Czy to glajda jaka, czy przyzwoita kobieta?” Przyzwoita kobieta, panie pułkowniku! „Ładna?” Bardzo ładna, panie pułkowniku! Zabębnił palcami o biurko i chrząknął. Wiadomo, nasz stary na baby obojętny nigdy nie był i o Szkołę też umie dbać. „Czy to był jakiś pilny interes?” — pyta już zupełnie łagodnie. Tak jest, panie pułkowniku — mówię — niespodzianie musiała wyjechać i przyszła się pożegnać. Znów zabębnił palcami i chrząknął. „Hm, hm, przyszła się pożegnać biduleńka — powtórzył ironicznie — szkoda mi was!” Potem znów popadł w głębokie zamyślenie. Wiadomo, nasz stary pofilozofować też lubi. „Myszę, że jakiś głupi tydzień — powiedział niezdeterminowanie — powinien chyba wystarczyć... dla przykładu i uratowania honoru... oczywiście bez zapisywania w rejestr...” — dodał.

— Co miałem robić? — trzasnąłem ostrogami i już mnie nie było.

— Mogiła! — powiedział bardzo poważnie Barnaba — czyn twój, złotemi zgłoskami, zostanie zapisany w sercach plutonu, po wieczne czasy.

— Amen! — dorzuciłem, aby zakończyć tą przykrą chwilę.



Poczem, cały pluton w szyku zwartym, uściśnął dłoń bohatera.

Przed naszym wyjazdem, Mogiła napisał list do siostry, która była za jakimś dyrektorem w Warszawie.

„Droga Alicjo! Na Sylwestra zgłoszą się do Ciebie, dwaj moi przyjaciele ze Szkoły, aby Ci opowiedzieć o nieszczęściu, jakie mnie tutaj spotkało. Obydwaj słyną z pomysłowości i dobrego humoru. Nie zawiedziesz się na nich. Przygotuj dużo żarcia i napojów wysokowych, jak również pić pięknej, gdyż bardzo lubią dużo jeść, pić i flirtować! Wogóle proszę Cię na klęczkach, o takiego Sylwestra, któryby mógł im utkwieć w pamięci i żołądkach do końca życia!!!

Żegnam Cię ze łzami w oczach.

Twój nieszczęśliwy brat — Stanisław”.

Po zapoznaniu się z treścią tej epistoły, Barnaba mruknął lekceważąco:

— Masz szczęście, żeś poszedł do wojska.

Mogiła ustawił oczy w znak zapytania.

— No, bo gdybyś poszedł na pisarza — uzupełnił łaskawie — zamknęliby cię na całe życie... nie masz zupełnie stylu.

— Nie chodzi o styl, tylko o serdeczność — wtrąciłem — a następnie gotowa się jeszcze wystraszyć... pomyśli, że nie przyjeżdżasz na Święta z powodu jakiegoś wypadku.

Mogiła parsknął:

— Cóż wy myślicie, że siostra mnie nie zna, czy jak?

Kiedy miałem motocykl, to przez dwa lata, tylko trzy miesiące jeździłem, a resztę czasu leżałem w szpitalu — i też mi się nie stało.

— Phi, — powiedział Barnaba — to nic nie ma do rzeczy, ja znalazłem jednego, co tylko trzy minuty jeździł na motocyklu i już dawno leży w grobie.

— Niech mu ziemia będzie lekka — dorzuciłem, albowiem lubię sytuacje jasne.

Mogiła i Barnaba spojrzeli na mnie podejrzliwie.

— Więc uważacie — powrócił do tematu Stasiek —

żeby było poręcznie, nie doręczam wam listu, tylko zaraz wyślę pocztą... i serce mi się kraje, że nie spotkam Nowego Roku razem z wami — dodał, płaczącym tonem.

Istotnie, było to bardzo przykre.

— Przywieziemy ci walówkę z Warszawy — starałem się go pocieszyć.

Mogiła usiadł przy stole i coś nagryzmolił na karteczce.

— Macie tutaj adres siostry... żegnajcie... i pamiętajcie o oczach.

? ? ?

— Bielmem wam zajdą, od jednego widoku „wyżry”, popicia... i tych dziewczynek, które bywają u Alicji na Sylwestra.

Porządny był chłop. Ucałowaliśmy się z dubeltówki.

W Warszawie wpadliśmy od razu w przedświąteczny zgiełk i ruch.

Pluton, obładowany paczkami, przewalał się przez ulice, jak ślepy i szalony wąż. Ludzie z wybałuszonemi oczami i otwartemi ustami pędzili przed siebie, roztrącając po drodze wszelkie przeszkody. Czuło się w powietrzu bliski koniec świata. Auta i dorożki, na nic nie zważając, rznąły wprost na przechodniów. Przechodnie wili się pomiędzy tramwajami i pojazdami, jak piskorze — i gęsto kleli. Wystawy przyciągały wzrok obfitością towarów, jasnością oświetlenia. Jaskrawo — kolorowe neony, krzychały geometrią powikłanych linii i kół. Tajemnicza Marlina, wabiła z jakiegoś afisza kinowego, zamglonemi oczami i smukłością wspaniałych ud. Z knajp dolatywała wrzawa muzyki wraz z pomieszaniem pijackimi głosami. Przechodzące, jak ponętny znak zapytania, eleganckie warszawianki, pozostawiały po sobie wspomnienie dyskretnego „oka” i subtelnych perfum. Mali gazeciarze wrzeszczeli: „Dobry Wieee! Wie Waaal”

— To się nazywa symfonia wielkiego miasta — powiedziałem do Barnaby, uskakując zręcznie w bok przed pędzącym autem.

— Cholera z tą symfonią! — złościł się Barnaba — ani składu, ani ładu, zwarzować można.

— To zwarzuj — radziłem — nie żałuj sobie, robaczku. Tutaj jest bardzo fajny szpital dla warjatów na Bonifraterskiej. Mogę cię odwiedzić.

— Święta spędziliśmy mile i pogodnie w domu moich rodziców.

W dzień Sylwestra, jeszcze leżąc w łózkach, podniecaliśmy się czekającą nas wizytą u pani Alicji.

— Pamiętaj — przestrzegali Barnaba — abyś nie wlażył mi w paradę. Wszystkie blondynki rezerwuję dla siebie. Oburzał mnie ten egoizm.

— Kicham na ciebie i na blondynki — udawałem lekceważenie — wiesz, że ubóstwiam tylko rude, starsze i jeśli możliwe — ospowate.

— Masz spaczony gust!

— Nie, tylko jestem indywidualistą, a nie takim schematem, jak ty.

Goliliśmy się i eleganowali ogromnie starannie. Stary mój, który brał żywy udział we wszystkich naszych sprawach, udzielał praktycznych rad.

— Trzymajcie się ostro, panie dzieju, i z miejsca do szturm... pierś powinna być wypięta, talja wąska, trochę sztywności nie zaszkodzi. Jeść, pić i tańczyć dużo — mówić mało. Kobiety przepadają za tajemniczością i obojętnością.

Przed samem wyjściem, mówię do Barnaby.

— Adres pamiętasz?

— Nie.

— No, to zobacz na karteczce, którą ci dał Mogiła. Barnaba przez chwilę był niezdecydowany.

— Zdaje mi się, że to on tobie dał tę karteczkę — powiedział bez przekonania.

— Wiesz, nie zwracaj głowy — odparłem oburzony. Zaczęła się szukanina. Przewróciliśmy dwadzieścia razy wszystkie kieszenie i walizki. Ani śladu. Kartka przepadła.

— No, widzisz gapo jedna — załamałem ręce — wściekli się nam przez ciebie Sylwester.

Barnaba miał wyraz rozpaczony na twarzy.

— Cholera — bełkotał — trzeba mieć szczęście.

— Może pamiętasz chociaż nazwisko? — poddałem.

— Tak, pamiętam... — odrzekł niepewnie — takie... jakieś kwaśne.

— Jakie kwaśne? — zdziwiłem się ogromnie.

— No, tak... Kwaśniewska, Kwasoborska, Kwasicka, Kwaskowska... coś w tym rodzaju.

— Mój Boże, mój Boże — kiwałem głową — a ulica? Barnaba ustawił się w kłamkę od drzwi i zamrugał.

— Też dobrze nie pamiętam — jęknął — ale, wydaje mi się, że jakaś taka kobieta.

Złapałem się rękami za brzuch i usiadłem na podłodze.

— Wody! — krzyknąłem do ojca — z nim niedobrze. Kobiety mu na mózg padły. Gdzieś ty znów widział kobietę ulicę?

Barnaba stropił się do reszty.

— Przypominam sobie — szepnął słabym głosem — że jakaś... taka Piękna lub może Hoża.

— Może Twarda, Szeroka, Wąska, Śliska, Żelazna, Miedziana, Stalowa, Miodowa, Żółta? — uzupełniłem — masz dużo do wyboru... może wreszcie Bonifraterska, bo tam na ciebie napewno czekają.

— Ach nie! — przypomniał sobie niespodzianie — już mam... Wspólna!

Zaczął podskakiwać i drzeć się.

— Wspólna, Wspólna... hurrrra!

Wśród wrzawy czynionej przez tego warjata i moich uradowanych rodziców, zapytałem:

— A numer pamiętasz? — poczem dodałem złośliwie — może też jest kwaśny lub kobiecy?

— Och, doskonale pamiętam!

— Który?

— 14!

— Nie pójdę, psia krew, na Wspólną — uparłem się — mam najgorsze wspomnienia z tej ulicy!

Ojciec, który znał moje ciężkie, młodzieńcze przeżycie, związane do pewnego stopnia z tą ulicą, mrugnął porozumiewawczo okiem.

Jednak poszliśmy!

Podchodzimy. Kamienica, jak kamienica. Brama, jak brama. Czytamy listę lokatorów.

— Jest — drze się Barnaba — jest! Widzisz, jaką mam pamięć.

Istotnie, ku mojemu zdziwieniu na liście figuruje:

Alicja Kwaśniewska  
aktorka.

— Wiesz, Barnaba — mówię — nie spodziewałem się, że trafimy. Ty, naprawdę jesteś genialny

Idąc po schodach Barnaba mruczy:

— Małpa, swoją drogą, z tego Mogiły. Nigdy nam nie wspominał, że jego siostra jest aktorką.

Z trochę falującymi sercami naciskamy dzwonek. Otwiera nam fertyczna, przystojna pokojówka. Strzyże oczami do Barnaby. Ma szczęście ten chłop u kobiet.

— Pani jest? — pytamy.

— Jest, ale jeszcze nieubrana — oświadcza — może panowie zechcą poczekać w salonie.

Siedzimy w salonie i gapimy się na obrazy. W domu panuje cisza. Gdzieś, bardzo zdala dolatują dźwięki fortepjanu.

— Jakoś ruchu nie widać — stwierdzam minorowo — może się co odmieniło?

— Może jeszcze zawcześniej? — niepokoi się Barnaba.

Wtem otwierają się drzwi i w niebieskim peniuarze, wchodzi osmy cud świata. Więcej anioł, niż kobieta. Korona złotych włosów, lazurowe oczy, usta niczem łuk Amora.



Chociaż nie widzę, czuję, że przez ciało Barnaby przebiegają gorące dreszcze i mowy niema, aby przez najbliższe 15 minut zdolny był otworzyć gębę.

Zrywamy się i grzecznie trzaskamy ostrogami.

— Witam panów — mówi głosem srebrnego dzwonka — panowie w jakiej sprawie?

Widzę, że jest zdziwiona, my również jesteśmy trochę tem przywitaniem zdziwieni.

Barnaba ma w oczach i na całej twarzy wyraz takiego idjotycznego zachwycenia, że aż mi się robi za niego przykro.

Dostrzega to, widać, pani Alicja, gdyż uśmiecha się z pewnym pobłażaniem.

— My, proszę pani — zaczynam się z miejsca płatać — właściwie nie my... tylko brat pani pewnie pisał... że my przyjdziemy na Sylwestra.

— Zaraz, który brat, ho mam kilku? — pyta i spogląda z prawdziwym zaciekawieniem na Barnabę.

— Stach Mogiła, proszę pani, ze Szkoły Podehorążych. Drgnęła na dźwięk moich słów, a potem się głośno roześmiała. W oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

— Pewnie list zaginął po drodze — powiedziała — o nieczem nie wiem.

Musieliśmy mieć bardzo żalodne miny, gdyż ponownie, wesoło zaśmiała się.

— A to ci heca — powiedziała, jakby do siebie — a cóż się dzieje ze Stachem?

— Siedzi w pace, proszę pani.

— W paaaaaace? — powtórzyła przerażona.

— Tak, proszę pani, w pace — potwierdziłem i smutnym głosem opowiedziałem o jego dżentelmeńskim zachowaniu się i wynikłych z tego fatalnych konsekwencjach.

— Biedny chłopak — westchnęła — szkoda, że go tutaj niema, ale, jak widzę honor Szkoły ocalił.

— Nie byłby pani bratem — odparłem po wersalsku i stuknąłem ostrogami.

— Tak, tak — potwierdziła — z takiego braciśzka, to prawdziwa pociecha... zawsze taki był... od małości.

Potem spojrzała łaskawie na Barnabę i zapytała.

— Cóż pan nie nie mówi?

Zamiast odpowiedzi Barnaba wydał dźwięk zbliżony do muczenia zdychającej krowy. Można się było ze wstydu zapaść pod ziemię.

— On jest małowówny proszę pani — ratowałem sytuację.

Obejrzała go od stóp do głów.

— Och — rzekła — pasjami lubię takich milczków.

Przez chwilę zastanawiała się nad czemś głęboko, ciągle spoglądając z pod oka na tego kretyna.

— Wiecie panowie co? — zakomunikowała — tak się sytuacja złożyła, że nie urządzam Sylwestra w domu, ale zato zabieram was na Redutę.

Kiedy posłyszeliśmy tą fascynującą wiadomość Barnaba zbladł, jak płatek herbacianej róży, a mnie coś zaterkotało w uszach i czułem, że lada chwila, sama przez się może się puścić krew z nosa.

— Nie możemy iść w mundurach — szepnąłem boleśnie.

— Och, to głupstwo — zadźwięczały słowa słodkie, jak miód — jestem przecież aktorką i mam w domu podręczną rekwizytornię. Przebiorę panów i ucharakteryzuję. Pan, jako wyższy i szczuplejszy, będzie Don Kichotem — powiedziała wskazując na Barnabę — a pan, jako niższy i grubszy jego sługą, Sancho Panchem.

Kiedyśmy się przebierali w obszernym, pełnym wszelakich gratów, pokoju — Barnaba okropnie zadowolony i bardzo już rozmowny, puszczał się na niesmaczne dowcipy.

— Portki będziesz za mną nosił i ten dziury, czy też lancę.

— Zdechłbyś bezemnie marnie, niemowo jedna — odgryzałem się.

— Ale cudna jest ta Mogiłowa siostra... — marzył w głos.

— Cudna! — przytwierdzałem z ochotą.

Jak wyglądał Barnaba w połatanym pancerzu i dziurawej misce na głowie, do tego z obwisłymi wąsikami i brodą w szpic — nie podejmuję się pisać. W każdym razie, na widok ten pełzałem ze śmiechu, jak żmija, po podłodze.

Pani Alicja zaśmiewała się również, nie wiem nawet, czy z jego widoku, czy, może raczej z mojego, o którym przez skromność wolę nie wspominać.

Myślę, że gdyby zmartwychwstali Don Kichot i Sancho Pancho, nie żyłoby długo po ujrzeniu nas. Umarliby ze wstydu i rozpacz.

Kiedyśmy wysiedli z taksówki wśród piekielnej wrzawy aut i ludzi minęli drzwi Teatru Wielkiego, jeszcze w hallu ogarnęła nas atmosfera wesołej zabawy.

Snuli się wygalowani bileterzy, jacyś wyfraczeni panowie kręcili się z zaferowanymi twarzami, piękne panie w maskaradowych kostjumach lub w najrozmaitszych, co do kształtu i koloru, balowych toaletach, śmiały się, błyskały oczami, zębami i biżuterją.

— Patrzenie, dwóch warjatów! — powiedziała jedna, wskazując wachlarzem na nas.

— Ładnie się zaczyna! — szepnąłem do Barnaby.

W głównej i bocznych salach reutowych, przygrywały orkiestry. Gęsty tłum ludzki przewalał się od ściany do ściany — tańczył, obmawiał, flirtował, intrygował.

Jakaś drobna maseczka schwyła mnie pod rękę.

— Te pajac! postaw mi wody — zaproponowała ochrypłym głosem.

— Kiedy nie mam forsy — odpowiedziałem przytomnie również ochrypłym głosem.

— To się powieś! — syknęła i zniknęła.

Na trochę pochyłej i chropawej podłodze wielkiej sali, zbity tłum tańczący trwał prawie w bezruchu i tylko kołysał się to w prawo, to w lewo. Orkiestra grała melancholijne tango: „Jeśli dziś nie będziesz moją, umrę wśród straszliwej męki”.

Ciała przylegały do ciał, ręce do rąk, nogi do nóg. Nie było gdzie szpilki wetknąć. Mięszwały się oddechy, zapachy, dotyki, słowa, dźwięki. Różnokolorowe reflektory oświetlały tajemniczo spocone twarze i przymglone oczy. Na głowy spadał deszcz confetti i serpentyn. Fruwały całe pęki czerwonych i zielonych baloników.

Barnaba wniebowzięty i nieprzytomny, w dalszym ciągu bardzo milczący, tonął w ramionach Alicji. Ja tańczyłem z jakąś gęsto zamaskowaną i ponurą brunetką.

— Co pani tak milczy? — zapytałem.

— Bo się bojam, żeby mi nowych pantofli nie oddepłi — odpowiedziała.

Straciłem ochotę do dalszej rozmowy. Nia mam jakoś szczęścia do wytwornych dam.

Później wrażenia zmieniały się, jak w kalejdoskopie. Piłem wódkę i całowałem się z jakimiś cywilami w bufecie.

Uwodziłem rudą dziewczynę, która niewiedomo dlaczego, starała się ze mną rozmawiać po żydowsku. Podarowałem balonik, prawie nagiej kobiecie, przebranej bardzo lekkomyślnie za jakąś Dianę lub może Afrodytę.

Pamiętam jeszcze, że brałem udział w awanturze o czyjąś tancerkę, którą ktoś, jakoby obraził, potem stawiałem wódkę facetowi przebranemu za Wieżę Babel i chciałem koniecznie z nim tańczyć. Wreszcie pamiętam, jakby zdała hałas wielkiej sali, marzące tony tanga, echa śmiechów i szepotów. Wszystko to, jakoś dziwnie zanikało i oddalało się.

O Barnabie chwilowo zapomniałem. Znikł, jakby sen jakiś złoty.

Trochę zmęczony, znalazłem cichy kątek, gdzie stał stary fortepjan. Ułożyłem się wygodnie na wieku, ręce złożyłem na brzuchu i tak leżąc na wznak, smacznie usnąłem.

Zbudziło mnie gwałtowne potrząsanie i przenikliwy syk wściekłego Barnaby.

— Czyś zwarjował, ofermo jedna... trzy godziny ciebie szukamy!

Pani Alicja, miała rozmarzoną minkę i wcale nie wyglądała na znudzoną.

— Jestem Sancho Panchem, czy nie jestem — odpowiedziałem sennie.

Kiedyśmy przechodzili przez sale już świtało i zabawa dogorywała. Większość towarzystwa miała dobrze w czubie i zachowywała się niesfornie.

Tańczono właśnie na nutę rumbi, jakiegoś kankana, albo może tarantellę — nie znam się na figurowych tańcach.

Chciałem koniecznie patrzeć, ale pani Alicja odwróciła twarz z niesmakiem, a Barnaba pociągnął mnie za rękaw.

— Chodź! — powiedział — bo powiem ojcu.

— Kapuś! Skarżypyta! — zacząłem go przedrzeźniać — zyg, zyg marchewka! — zaśmiałem się okropnie głośno i od tej wesołości, tak mi się jakoś nogi poplątały, że omal nie upadłem.

Barnaba spojrział na mnie z pogardą, a pani Alicja ślicznie się uśmiechnęła i wzięła mnie pod rękę.

— Tak będzie bezpieczniej — oświadczyła.

— Przedewszystkiem przyjemniej — odpowiedziałem z całą szczerością.

— Zaśmiała się.

Kiedyśmy z trudem i przy wzajemnej, dość niechętniej pomocy, zdołali się przebrać i zasiedli przy czarnej kawie w salonie — rozległ się energiczny dzwonek.

Pani Alicja pobladła.



— Boże! toż pewnie mój mąż powrócił! — szepnęła przerażona.

Spojrzelśmy na siebie niepewnie. Nieprzewidziane sytuacje bywają czasami bardzo kłopotliwe.

— Co robić? Jak się zachować — przebiegło nam błyskawicą przez myśl.

— Och, Boże! — prawie z płaczem zawołała — on was pozabija i mnie zastrzeli, to warjat! — złożyła ręce, jak do modlitwy — moi śliczni kochani... błagam was, uciekajcie!

Dzwonek w dalszym ciągu nerwowo dobijał się do drzwi.

Co było robić? — Schwyciliśmy szable i płaszcze w garść, czapy na głowy i ćwiczebny galopem wybiegliśmy przez kuchenne wejście.

Schodząc po schodach z głupim uczuciem niezastłżonej porażki, słucałem jednym uchem, bojowych słów

Barnaby.

— Zabić takiego drania... łotra... bydlaka... rozszarpać na części... poewiartować!

— Nie wsadzaj palca pomiędzy cudze drzwi — powiedziałem sentencjonalnie — jej sprawy wcale cię nie powinny obchodzić.

— Ubóstwiam ją! — z gorzkim grymasem wybuchnął Barnaba.

Wstawał nad miastem szary dzień. Śnieg lekko prószył. Powracały do domów gromady rozbawionych, rezeźmianych czcicieli Sylwestra.

Po powrocie do szkoły mieliśmy dużo przykrości od Staśki Mogiły. Jak się okazało siostra jego, nie doczekawszy się naszego przybycia, a wprowadzona w błąd głupią treścią listu, zjechała do Szkoły z wielkim lamentem i wymówkami.

— Tak przyjaciele nie postępują! — zalił się Mogiła. Spojrzeliśmy na siebie pełni zdumienia.

— Jak się nazywa twoja siostra? — prawie wyłkał Barnaba.

— Alicja Ocetowicz.

— A gdzie mieszka?

— Ciepła 3.

— Kwaśna i kobieca!!! — ryknąłem nieludzkim głosem, poczem przez 15 minut tarzaliśmy się po rządowych łózkach w paroksyzmie radości, żalu i zdziwienia.

— Może jedyną pociechą było to, że przez cały miesiąc, przychodziły pod adresem Mogiły olbrzymie paczki żywnościowe, od nieznanej ofiarodawczyni.

— Pluton używał, jak nigdy.

Adam Ostoja.



## CO CZYTAĆ?

*Wojciech Bąk* — „Śpiewna samotność”. — Poezje. J. Mortkowicz. Warszawa — 1936, str. 93.

Niewątpliwie nie-samotność była tym bodźcem, który pobudził Bąka do napisania wierszy zebranych pod wspólnym tytułem „Śpiewna samotność”.

Napewno nie. Raczej ogromnie ludzkie, współczujące, a przez to i buntownicze, niecierpliwe serce.

Ten nawskroś emocjonalny stosunek Bąka do rzeczywistości, to spojrzenie poprzez całą gamę wrażliwości uczuciowej cechuje wszystkie bez wyjątku wiersze Bąka. I jeszcze jedno — być może najbardziej charakterystyczne w poezji Bąka — to jego — nie mam innego lepszego określenia — religijny stosunek do świata.

Świat materialny, jak i niematerialny uzmysławia w Bąku przedewszystkiem wycucie jakiejś niepojętej, chwilami mgławicowej nawet, „istoty”, z którą Bąk jakgdyby walczy czy dyskutuje wewnątrz siebie.

Ten nieco może mistyczny stosunek do Boga pozwala jednocześnie zrozumieć jego stosunek do rzeczywistości, jak również jest kluczem do zrozumienia jego postawy emocjonalnej — jedynie możliwej zdaje się przy takim właśnie stosunku do Boga.

Leż jednocześnie drzemie w Bąku pogański, nawskroś pierwotny instynkt zachwytu nad pięknem, wcielonym w kształt materialny.

Źródłem jego natchnienia w przeważnej części jest stała, niespokojna walka tych dwóch stanowisk, a w każdym bądź razie jest ona tym motywem, na którym opiera się cała twórczość poetycka Bąka.

„Śpiewna samotność” zasługuje z tego punktu widzenia na najgłębszą uwagę.

*Emil Ludwig*. „Bismarck”. Instytut Wydawniczy „Renaissance”, Warszawa, 1935

Powieść o „Żelaznym kanclerzu” jest dziś szczególnie na czasie. Dziś gdy oczy całej Europy zwrócone są na Niemcy, w których znów jak w połowie XIX w. zachodzą głębokie przemiany dobrze jest przypomnieć sobie wielką grę Bismarcka, która zakończyła się zjednoczeniem Niemiec. Wydałoby się mogło, że Hitler kasując odrębność wewnętrzną państw niemieckich w łonie Rzeszy prowadzi dalej dzieło Bismarcka. Jednak w rzeczywistości akcja Hitlera to jakby powrotna fala przekreślająca dzieło Bismarcka. Żelazny kanclerz — to przedewszystkiem patriota pruski, łączący Niemcy pod hegemonią Prus. Celem jego życia było usunięcie Austrii poza granice Niemiec, narzuceniu „południowi” — panowania północnych Niemiec.

Dziś Hitler, Austriak z pochodzenia dąży do zjednoczenia wszystkich Niemców, wciągnięcia do Rzeszy Austrii, przerzucenia ośrodek Rzeszy spowrotem na Południe. Przy czytaniu „Bismarcka” przypomina się zdanie jednego z współczesnych polityków, że hitleryzm, to odpowiedź Austrii na Sadowę.

Postać Bismarcka jako człowieka i męża stanu jest niezwykle interesująca. Typowy junkier pruski, hulaka, nieznoszący biurokracji, początkowo niezbyt się garnie do urzędów i stanowisk politycznych. Rozpoczynając jednak karierę polityczną od wejścia do parlamentu jako poseł stronnictwa konserwatywnego, prowadzi będzie swą działalność z nieugiętą konsekwencją. Obejmując następnie coraz wyższe stanowiska w dyplomacji przez Frankfurt, Petersburg, Paryż dochodzi wreszcie do stanowiska pruskiego prezesa ministrów. Zamierzenia swe osiąga jedynie dzięki

własnym wysiłkom, tocząc nieustanną walkę nie tylko z liberalną opozycją, lecz i z królem, który niezbyt mu ufa, i nie może się zdobyć na męską, stanowczą politykę. Wreszcie wszystkie przewidywania Bismarcka spełniają się, zwycięża w wojnie z Danją, zaś zupełny triumf odnosi w zwycięskiej wojnie z Austrią. Ten okres triumfu kończy książkę Ludwiga.

Należy stwierdzić, że „Bismarck” to jedna z najlepszych powieści biograficznych Ludwiga, który z niezwykłą przenikliwością, w znakomitem ujęciu psychologicznym przedstawiał niezawsze dla nas sympatyczną, lecz zawsze nieprzeciętną postać genialnego „Żelaznego kanclerza”.

J. S.

*Jadwiga Gorzycka* — Krysia i karabin. — Książnica Atlas. Lwów — Warszawa, str. 150.

Książka p. Jadwigi Gorzyckiej jest jednym z tych prostych, bezpośrednich a przez to miłych opowiadań o robocie konspiracyjnej — niepodległościowej. Ale ma nad innymi jeden ogromny plus. Bohaterka książki ma aż trzynaście lat. I temi to trzynastoletnimi oczami usiłuje dożyć sens tego tajemniczego „coś” co ją otacza w domu, gdzie rodzice są uczestnikami roboty niepodległościowej. Ta specyficzna atmosfera powagi i smutku, to zestrzelenie wszystkich myśli i pragnień najbliższego i najdroższego otoczenia na tym jednym celu „niepodległości”, te poforne zebrania, ci „nowi” zjawiający się niewiadomo skąd i poco — i odjeżdżające znowu w nieznaną — to wszystko oglądane oczami trzynastoletniego człowieka — nadaje przeziębionym bohaterki ten specjalnie zaciekawiający stosunek emocjonalny, to ciągle pasjonujące nieublagane pytanie: dlaczego.

Jest jeszcze jeden moment przedziwnie piękny: to wtedy, kiedy Ziuk, spieszący na zebranie odbywające się w rodziców bohaterki, zatrzymuje się na chwilę w przedpokoju by móc przez chwilę prosto, serdecznie uśmiechnąć się do bohaterki-dziecka, wyglądającego przez szyby drzwi kuchennych.

I tu poznajemy to najdziwniejsze w Marszałku, wielkie kochające serce.

Nie poważna książka. Stanowczo nie. Bohaterzy niepełnoletni przecież, ale szczerza, ale mówiąca „okrzyk tej krwi, co szczerze zalewała drogę polską ku wolności i szczęściu tych dzieciń.”

*J. Wołoszynowski*. — Było tak — Wyd. Książnicy Atlas Lwów — Warszawa.

Historia, lecz historia pisana odmiennie niż dotąd byliśmy do tego przyzwyczajeni. Oto ta historia, którą pamiętamy jeszcze ze szkolnych lat, zjawia się znowu przed nami, lecz zjawia w nowej formie. Zjawia się w formie, która podnieca wyobraźnię czytelnika, pozwala kartką za kartką odtworzyć film swojej i obcej historii. Piszemy film, bo rzeczywistość książki Wołoszynowskiego ma wiele podobieństwa do scenariusza — filmowego operując skrótami i zbliżeniami, poprostu chwilami narzuca czytelnikowi konieczność wyobrażenia sobie płótna ekranu ożywionego cieniami wywołanymi z przeszłości.

Staral się autor upoetyzować historię i wysiłek w tym kierunku przyniósł kilka ciekawych fragmentów. Całości jednak nie zdołał Wołoszynowski utrzymać na tym najwyższym poziomie — wysiłek zbyt wielki, powstały dłuższy, a często chropawy język nie godzi się z poetycką intencją autora.

W. B.

*W. Konstąntynow*. — „Mapa Afryki opowiada...” Wydawnictwo J. Mortkowicza — Warszawa 1936.

Książka Konstąntynowa jest wolnym przekładem z rosyjskiego. Przeznaczona jest w pierwszym rzędzie dla młodzieży. Autor dość konsekwentnie przeprowadza nową metodę nauki geografii, która nie powinna polegać na bezmyślnym „wkuwaniu się” nazw krajów, miast, rzek i t. p. — ale winna dążyć przy zapoznawaniu młodzieży z kartami geograficznymi do formy opisowej, związanej z historią danej części świata, kraju czy rzeki. Ten sposób wykładu jest niewątpliwie żywy i barwny, co czytelnik z przyjemnością może stwierdzić czytając „Mapę Afryki”, — przytem cel dydaktyczny — nauczanie geografii — zostaje w znacznym stopniu osiągnięty.

Możnaby tylko mieć zastrzeżenia co do pewnych tendencji politycznych, niezawsze słusznych, jakie autor między wierszami pragnie przeprowadzić, niemniej jednak książce tej nie można odmówić pewnej oryginalności w stylu i ujęciu tematu.

Jot.

„Polski Kalendarz Narodowy na rok 1936” opracowany przez *Henryka Mościckiego*. — Wyd. Głównej Księgarni Wojskowej. — Warszawa 1936.

Główna Księgarnia Wojskowa podjęła szczęśliwą myśl wydawania kalendarzy, któreby nie tylko były niezbędnymi informatorami w życiu codziennym, ale któreby jednocześnie uczyły wiązać daty każdego dnia z uzupełnieniem zdarzeń godnych pamięci lub głębszego zastanowienia. Kalendarze w ten sposób redagowane posiadają duże znaczenie kształcące i wychowawcze.

Pierwszy rocznik Polskiego Kalendarza Narodowego na rok 1936 — poświęcono życiu i dziełu Wodza Narodu i Twórcy Niepodległości, Pierwszego Marszałka Polski — Józefa Piłsudskiego. Każda strona kalendarza odtwarza w ilustracji scenę z życia lub podobiznę Marszałka, opatrzoną odpowiednio dobranym wyjątkiem z Jego pism, przemówień lub rozkazów. Wszystkie ilustracje wykonane zostały niezwykle starannie według autentycznych zdjęć fotograficznych, w zespole tym ukazujących się poraz pierwszy. W ten sposób całość stanowi artystyczny o nieprzemijającej wartości album — obrazujący pasmo życia, wysiłków i czynów Wielkiego Twórcy Niepodległości, związane nieśmiertelnymi Jego słowy, które stać się powinny drogowskazem dla każdego Polaka.

„Polski Kalendarz Narodowy” powinien się znaleźć w każdym urzędzie, biurze, szkole, instytucji, w rękach każdego obywatela — łączą bowiem rzetelną wartość praktyczną z głębokimi walorami ideowymi.

*Konrad Jotemski*. — „W czerwonej niewoli” Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej. Warszawa 1936.

Posiadamy już dość bogatą literaturę z okresu walk o Niepodległość. Liczni autorzy i beletryści starają się, o ile możliwości, zresztą nieraz i nie bez słuszności, w opowieściach swoich uwzględnić materiał historyczny, pragnąc tem same: nadać im charakter dokumentów. Przy takim ujęciu czytelnik niejednokrotnie się gubi, niewiedząc co z poruszonych momentów historycznych jest prawdą — a co fantazją autora.

Ostatnia książka Konrada Jotemskiego „W czerwonej niewoli” — stanowiąca cykl nowel z okresu wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. — nie rości sobie pretensyj do „dokumentu historycznego”. I na tem polegają jej niewątpliwie walory. Te liczne obrazy kreślone przez autora z dużą umiejętnością w sposób bezpośredni — a żywy — najlepiej przemawiają do czytelnika, najlepiej potrafią go ująć i przenieść w świat

życia żołnierza na wojnie. A życie to — mimo że nieledwie stale stojące w obliczu „Pani Śmierci” — jakże wesołe, barwne i beztroskie. Czasem autor rzuci humorem „od ucha do ucha” jak np. w noweli p. t. „Zemsta jest rozkoszą bogów”, innym razem uderzy w akordy poważne, patetyczne — to znów dalej podziwiać będziemy ten prosty sentymentalizm żołnierski ze „Izłą w oku”, którego może najlepszym wyrazicielem w poezji żołnierskiej był Józef Męzka.

Kreśląc poszczególne obrazy z wojny potrafi być autor dobrym znawcą i analitykiem załamania i wlotów dusz żołnierskich („Dezertor”, „W czerwonej niewoli”) — w innych będzie umiejętnie przeprowadzał głębsze cele dydaktyczne („Pożyczony mundur”). Wszędzie jednak jest autor szczerzy, bezpośredni i bliski czytelnikowi.

Zbiór nowel Jotemskiego „W czerwonej niewoli” — należałoby gorąco polecić naszemu młodemu pokoleniu — jako jeszcze jeden przyczynek do głębszego poznania tych ogromnych trudów i wysiłków — jakie pokonywał żołnierz polski w okresie ciężkich walk u zarania naszej niepodległości.

Jot.

*F. A. Ossendowski*. „Mo eni ludzie”. Książnica Atlas. Lwów-Warszawa, 1935 r.

Jest to powieść z życia zesłańców polskich na Syberji. Bohater powieści, Władysław Lis, porucznik Wojsk Polskich zesłany za udział w powstaniu Listopadowym na Sybir, osiedlony zostaje wraz z żoną w Narymie. W małej wiosce zamieszkałej przez Tatarów, Samojedów oraz rybaków rosyjskich staje się on jakby promieniem światła wśród ciemnoty napół dzikich, ciemnięzonych przez Rosjan ludzi. Uczy ich rolnictwa, czyta i pisze, żona jego leczy chorych, wreszcie Lis staje się obrońcą osady przed wyzyskiem urzędników rosyjskich. Otoczony miłością i wdzięcznością Tatarów i Samojedów buduje z ich pomocą dom. Zakłada gospodarstwo. Lecz działalność jego, mimo iż kończy się zwycięstwem nad urzędnikami-tapownikami, którzy dostają się do więzienia — nie może się podobać władzom rosyjskim i Lis przeniesiony zostaje w głąb kraju, do puszczy niezamieszkałej przez ludzi. Tam rozpoczyna odbudowywanie gospodarstwa, przygotowując się stale do ucieczki z wygnania. Do puszczy przybywa ekspedycja naukowa profesora niemieckiego, wychowawcy cesarzowicza. Profesor bada zakątki puszczy i pewnego razu Lis ratuje go przed śmiercią w zdradliwych moczarach. W nagrodę za to profesor umożliwia mu ucieczkę i po długiej pełnej przygód podróży wygnańcy uciekają z Sybiru na amerykańskim okręcie w świat, ku upragnionej wolności. Powieść Ossendowskiego napisana jest b. ciekawie; najlepsze są fragmenty książki opisujące piękną i egzotyczną przyrodę tundry syberyjskiej.

*Inż. Edward Haberman*. — „Przepisy chemiczno-techniczne”. — Wyd. Księgarni Św. Wojciecha — Poznań, 1936 r.

Książka inż. Habermana obejmuje działy praktyki chemiczno-technicznej, posiadające bardzo szerokie zastosowanie nie tylko dla młodych techników i amatorów — ale i dla innych osób pracujących w różnych dziedzinach techniki, przemysłu i rzemiosła. Ponadto, podane w książce przepisy — odnośnie wytwarzania we własnym zakresie wszelkiego rodzaju atramentów, sposoby chłodzenia, gaszenia, impregnacji, izolacji oraz konserwacji — mogą być z korzyścią wyzyskane również i w gospodarstwie domowym.

Wydany obecnie tom jest dopełnieniem tomiku, który omówiliśmy poprzednio — tak, że w całości otrzymujemy obecnie zwięzłe i jasno ujęte całokształt recepty chemiczno-technicznej, niezbędnej w każdym domu.



# POWRÓT Z URLOPU ŚWIĄTECZNEGO



Redaktor Naczelny:  
podchor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI  
Zastępca Redaktora: podchor. J. SZPER



Sekretarz Redakcji: podchor. W. BRODZIKOWSKI  
Kierownik artyst.: podchor. A. SIEMASZKO  
Kierownik Administr.: podchor. H. JANCZEWSKI

Adres Redakcji: Warszawa, Smolna 26/28. Administracji: W-wa, Nowy Świat 23/25 W. I. N. O.  
Konto P. K. O. 26.720.

**WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.**

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.  
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzurem: W. Bieliński, J. Błazejewski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Koziński, T. Królicki, B. Kucharski, J. Kozielski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Łaguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Mileczarek, M. Mokrski, B. Nuskowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszkowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajączkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA”, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.